ŁOWIEC POLSKI



NIEDŹWIEDŹ — WŁ. KORSAK

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

LUTY 1929 R.



montowany jest obecnie w kraju, w związku z czem wytworna limuzyna kosztuje zaledwie $ 1.343

ŻĄDAJCIE BLIŻSZYCH INFORMACJI!

Gener. Przedstw.: „HUDSEXWAY", Gdańsk, Reitergasse 12—15.

ZASTĘPSTWA REJONOWE:

Warszawa — „Motor Traders", Twarda 64, „Motofors", Kredytowa 9.
Łódź — „Hugon Strobach", Piotrkowska 154.
Poznań — Szafarkiewicz i Menzel, Wały Wazów 22.
Kraków — „Inż. B. Landau", Podwale 5.
Lwów — „Auto-Palais", Jagiellońska 20.
Katowice — Inż. S. Hochermann, Wita Stwosza 3.
Gdańsk — Otto Albert, Langer Markt.
Białystok — „Brosexauto", Sienkiewicza 12.

LORNETKI PRYZMATOWE BUSCH'a

zadawalniają najwybredniejsze wymagania P. P. Myśliwych



Model	Powiększenie	Średnica objektywu	Pole na odległość 1000 m.	Jasność
Hellux Nr. 206	6 ×	36 mm	150 m	36
Allux 225	8 ×	40 mm	150 m	25
Alluxon „ 0225	8 ×	40 mm	150 m	25

G. GERLACH

WARSZAWA

Ossolińskich 4. Telefon 49-77.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 8 (514). WARSZAWA, 23 lutego 1929 r. ROK XXII.



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

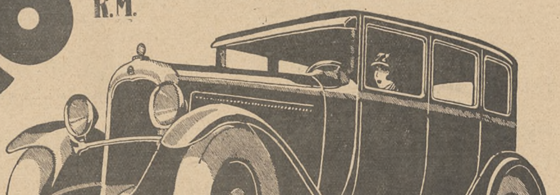
Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ:

Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 40 groszy; przed tekstem — 60 groszy. Na karcie tytułowej 80 groszy. Cała strona ma 576 milimetrów.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr.; przed tekstem — 90 gr. Na karcie tytułowej i okładce — 1.20 zł. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.



PIANINA

najnowszej konstrukcji
pierwszorzędnej fabryki

J. Kerntopf i Syn

odznaczonej najwyższemi nagrodami
z długoletnią gwarancją na

18 rat

miesięcznych przy wpłacie ⅓ należności
sprzedaje

SKŁAD FABRYCZNY

Warszawa, Szpitalna 9.
Telefon Nr. 94-12.

Dwa są rodzaje dzisiaj polowania.
Dwóch ma przyjaciół dzisiejszy myśliwy:
W polu lub w lesie gdy z psami ugania
Za zwierzem dzikim, przyjaciel prawdziwy
To strzelba dobra. Wielką satysfakcją
Jest polowanie inne gdy stację za stacją
Na **radjo-aparacie** – poluje w eterze.
Cuda, rozkosze, tysiąc marzeń, wrażeń...
Piękne obydwa sporty — jednak radzę [szczerze,
By nie zawiodły ni te, ni te strzały,
Jak strzelbę, tak aparat miej zawsze [**doskonały.**

Najlepsze radjoodbiorniki
bo pewne, tanie —
TO TYLKO ODBIORNIKI
TYPU „MARCONI",
które polecają
POLSKIE ZAKŁADY „MARCONI"
Sp. Akc.
Warszawa,
ul. Marszałkowska 142
Dyrekcja i fabryka: NARBUTA 29.

SKŁAD SUKNA i KORTÓW

PAWŁA DIPONT

dawniej HENRYKA MEYLERT
w WARSZAWIE, UL. SENATORSKA NR. 11
TELEFON NR. 48-79 TELEFON NR. 48-79

Wielki wybór towarów z fabryk krajowych i zagranicznych

KSIĘGARNIA
INST. WYD.
BIBLJOTEKA POLSKA S. A.
WARSZAWA NOWY ŚWIAT 23-25
REPREZENTUJE CAŁOKSZTAŁT
LITERATURY POLSKIEJ
POLECA
BOGATO ZAOPATRZONY DZIAŁ
MYŚLIWSKI
WIELKI WYBÓR WYDAWNICTW ZAGRANICZNYCH
ZAMÓWIENIA Z PROWINCJI ZAŁATWIA ODWROTNĄ POCZTĄ

HUMOR MYŚLIWSKI.

Niefruwające ptaki.

— Które ptaki nie fruwają, chociaż mają skrzydła?
— Pieczone! proszę pana profesora.

Reformackie pigułki
z marką ZAKONNIK
znane od 1602 r.

REGULUJĄ żołądek, chronią od REUMATYZMU, cierpień WĄTROBY, nadmiernej OTYŁOŚCI, ARTRETYZMU, uderzeń KRWI do GŁOWY, uśmierzają HEMOROJDY, czyszczą KREW i przy skłonnościach do obstrukcji są łagodnym środkiem przeczyszczającym. Użycie 1 do 2 pigułek na noc.

Cena pudełka zł. 1.35, wyrobu apteki Marcjewski Tuszyński, Warszawa Trębacka 4
Żądać w aptekach i składach z „ZAKONNIKIEM".



Z DZIAŁU BRONI I AMUNICJI.

Czterdziestolecie pracy na polu fabrykacji myśliwskiej broni palnej.

Z okazji jubileuszu 40-tolecia pracy rusznikarskiej znanego sportsmena-myśliwca i fabrykanta broni, p. Zygmunta Wilbika, współwł. Składu Broni Z. WILBIK I SYN w Warszawie, Długa 44, współpracownik naszej administracji odwiedził firmę, gdzie uzyskał wywiad, którego treść niżej podajemy:

Wchodzę. Przedemną piękny, schludny magazyn, sąsiadujący z salą maszyn rusznikarskich, skąd dochodzą odgłosy ożywionej pracy. Na jednej ze ścian, bogato przybranej ślicznymi okazami rogów jelenich, widnieją dwa oprawne w ramy dyplomy. Pierwszy, to Dyplom Mistrzostwa cechowego, jaki nasz sympatyczny właściciel otrzymał za czasów prezydentury w mieście st. Warszawie inż. Piotra Drzewieckiego, którego podpis otwiera na dyplomie poczet następujących z kolei podpisów władz cechu rusznikarsko-mechanicznego. Następny, umieszczony na ścianie dokument jest, jak opiewa napis, dyplomem uznania, najwyższą nagrodą, osiągniętą na pierwszej krajowej wystawie sportowej w roku 1903.

Zadaję pytanie:

— Za co W.P. otrzymał powyższy Dyplom Uznania?

— Dyplom ten otrzymałem w r. 1903 za ulepszenie i wykonanie broni palnej na Wystawę Sportową, jaka się wówczas odbywała; firma zaś, w której pracowałem i dla której wykonałem powyższą broń, otrzymała „TRZY WIELKIE ZŁOTE MEDALE". Dyplom przyznano mi za wykonanie dubeltówki o jednym cynglu, za ulepszenie konstrukcji całości mechanizmu tejże, oraz za precyzyjne wykonanie.

— Jaki rodzaj klijenteli W. P. posiada?



Założyciel firmy p. Z. Wilbik.

— Klijentela nasza jest rozmaita, składa się ona z ludzi, którzy na polu łowieckiem niemałe zasługi położyli i znani są ze swego amatorstwa, są to, między wielu innymi tacy, jak: J.J.O. Ks. Woronieccy, Ks. Drucey-Lubeccy, J.J.W. Hr. Tyszkiewiczowie, Hr. Kaszowscy, W.W.P.P. Załęscy, Orda, Paszkowski i inni ze sfer ziemiańskich; następną kategorję odbiorców stanowią urzędnicy państwowi i komunalni, oficerowie, wojskowi, kółka myśliwskie, gospodarze wiejscy, wogóle przedstawiciele świata myśliwskiego wielu sfer. Jest to rezultat, między innemi i tego faktu, że firma posiadając olbrzymi wybór towaru — jest w stanie zadowolić gusta i wymagania w szerokiej skali: od najskromniejszych — do najwykwintniejszych.

— Czy na frekwencję kupujących nie wpływają obecne, dość ciężkie ogólnie, warunki materjalne, wszak klijentela, jak Sz. Pan zauważył, składa się również i z mniej zamożnych ludzi?

— Przeciwnie! Zawdzięczając współpracy syna mojego, Romualda Wilbika, świeżo wyszłego z armji oficera Wojsk Polskich, firma zdecydowała się uruchomić dział częściowych spłat dogodnych, z których jaknajchętniej korzystają nietylko pracownicy różnych instytucyj, lecz również oficerowie i inni klijenci. Tu tkwi jedna z przyczyn ruchu handlowego w firmie, a jeszcze bardziej zadowolenia odbiorców.

W toku dalszej rozmowy dowiaduję się, że p. Zygmunt Wilbik z własnego doświadczenia i praktyki doszedł do stosowania specjalnych naboi własnego systemu, które obecnie wyrabia dla dubeltówek, *nie dających wymaganego minimum* pokrycia tarczy przy próbnym strzale, przyczem sposób wyrobu naboi został zróżniczkowany w zależności od wymagań sezonu, dla jakiego mają służyć, to znaczy, że uwzględnia się pory, w których strzał winien być ostry, i inne, kiedy winien być słaby. Dotychczas przeważnie ładunki robi się szablonowo, z jednakową miarą prochu i śrutu, bez przystosowania naboju do strzelby, co do której jednakże należy, zdaniem firmy, zbadać



Dyplom uznania.

jakimi ładunkami najlepiej strzelać. Takie porady i wskazówki klijenci otrzymują bez żadnej opłaty.

Wszelkie reparacje broni uskuteczniа się ku zupełnemu zadowoleniu klijenta. Rzecz to znana, że dobry strzał zależy nietylko od dobrego strzelca, lecz również i od dobrej broni. Dubeltówek źle bijących, o ile tylko lufy nie są zniszczone, niema dla p. Z. Wilbika, który doprowadza je za stosunkowo niewielką opłatą do wydawania precyzyjnych strzałów. Sz. Czytelnicy muszą przyznać rację poglądowi, że inaczej jest kupować broń u ludzi, którzy za cel jedyny mają swoją korzyść materjalną (jak najwięcej pieniędzy), a inaczej jest kupować u fachowca i myśliwego, który zapewniwszy sobie niezbędny zarobek, traktuje tranzakcje takie z wielkiem zamiłowaniem. Przechodząc zaś w rozmowie do sprawy obsługi kupujących, ustaliliśmy wspólnie, że firma Z. Wilbik i Syn traktuje ich z należnym szacunkiem i uprzejmością, pomnąc, iż nader skrupulatne omawianie tranzakcji przez klijenta, zwłaszcza z powodu dzisiejszych warunków, jest całkowicie usprawiedliwione, gdyż tranzakcja kupna broni nie należy teraz do rzeczy zbyt łatwych, tembardziej, iż kupujący niejednokrotnie doznawał uprzednio zawodu przy podobnej tranzakcji i teraz musi stosować zwiększoną ostrożność. Kłopotom P. P. Myśliwych co do wyboru systemów broni, jej kalibrów, jest w stanie firma Wilbik zaradzić natychmiast, gdyż dzięki wiedzy fachowej, zdobytej w ciągu 40-tu lat zawodowej pracy, jest ona w możności zadowolić klijenta tak pod względem ceny, jak i odpowiedniego doboru broni, oraz gwarancją, że najmniejszy defekt, zaszły nie z winy klijenta, natychmiast podlega bezpłatnemu usunięciu w warsztatach firmy. Miast szumnych reklam niektórych firm, których klijenci za cenę kupna dubeltówki jakoby otrzymują, wedle zapewnień reklamy, niemal pomieszczenie firmy do stałego zamieszkania i do uprawiania polowania na jej terenie, miast podawać bajeczne i niemożliwe, niskie ceny, nigdy przez autorów reklamy nieprzestrzegane, a jeśli nawet i kiedy stosowane, to z pewnością za broń wybrakowaną, której defekt wyjdzie na jaw już po krótkiem użyciu, miast tych kruczków podajemy i stosujemy nasze hasło a niem jest — **uczciwość i solidność fachowca** we wszystkich najdrobniejszych nawet stosunkach z klijentem.

Długoletnia nasza praktyka w handlu bronią, pozwoliła nam poznać wszelkie gusta i wymagania Panów Myśliwych, to



Dyplom Mistrzowski jubilata.

też staramy się, aby najwybredniejsi nawet byli zadowoleni, a śledząc rozwój i postęp w wyrobie broni, żądamy od fabrykantów, aby wszelkie nowości i udoskonalenia miały zastosowanie w sprowadzanej przez nas broni i aby pochodziła ona jedynie z renomowanych fabryk.

Każdą otrzymaną broń poddajemy ścisłej kontroli i próbie strzału. Odbiorca otrzymuje bezwarunkowo broń dobrą, co **p o r ę c z a m y i g w a r a n t u j e m y**, a gdyby okazała się jakaś niedokładność w wykończeniu lub strzale, to obowiązujemy się w pierwszym wypadku — do bezinteresownej reparacji i poprawek, w drugim zaś do wymiany broni na inną.

Strzelb źle bijących nie sprzedajemy wcale. Przy obstalunkach mniej kosztownych gatunków broni, w wypadku kiedy odbiorca wobec wielkiego wyboru uczuwa trudność w orjentowaniu się, jakiej broni dać pierwszeństwo, z prawdziwą przyjemnością pośpieszamy służyć radą oraz wskazówkami co do wyboru broni za określoną cenę.

Każda sprzedaną ze składu naszego broń, któraby dla jakichkolwiekbądź przyczyn nie podobała się nabywcy, firma zamienia na inną, nie później jednak, jak w przeciągu dni 14-stu od daty otrzymania towaru.

Na składzie posiadamy wybór nowej i okazyjnej broni śrutowej, wielki zapas sztucerów, rewolwerów, flowerów, przyborów myśliwskich oraz **l a d u n k ó w w ł a s n e g o w y r o b u**.

Przyjmujemy wszelkie roboty wchodzące w zakres rusznikarstwa, włącznie do wykonywania na specjalne zamówienie z gruntu nowych dubeltówek według otrzymanego planu lub wskazania.

Pozatem doprowadzamy wszelkiego rodzaju broń palną do wydawania precyzyjnych strzałów oraz podejmujemy się ustawiania lunet na sztucerach oraz doprawiania osad do dubeltówek; pozatem jeśli chodzi o roboty poważniejsze z zakresu rusznikarstwa, za swą specjalność poczytujemy dorabianie nowych luf, czego firma dokonywa bardziej dokładnie i więcej precyzyjnie, aniżeli to może uczynić fabryka, stosując swój mechaniczny zszablonizowany system montażowy.

Na tem zakończył się interesujący wywiad z czcigodnym jubilatem, nestorem rusznikarzy stołecznych, a przy pożegnaniu, ogólne wrażenie z rozmowy wielką siłą układało mi się w zdanie: **w wyścigu pracy nie nie zastąpi człowieka, co w swój fach wkłada całą swą duszę, całe zamiłowanie.**

P. S. Dla zilustrowania charakteru setek listów dziękczynnych, jakie stale napływają do firmy jubilata, poprosiłem o prawo przedruku listu najświeższego, doręczonego w chwili rozmowy. Oto jego brzmienie:

ZARZĄD BROWARU MIKULIŃCE.

Mikulińce, dnia 27.XII 1928 r.

Wielmożny Pan
Z. Wilbik i Syn
Skład broni i amunicji
w Warszawie, Długa 44.

Donoszę najuprzejmiej, iż zamówioną dubeltówkę marki „Geco" otrzymałem, z której jestem bardzo zadowolony, nietylko pod względem solidnego wykończenia, ale co najgłówniejsze, że będąc na polowaniu 24 grudnia r. z. miałem wielką satysfakcję w zdobywaniu trofeów, a to nawet na dość daleką metę.

Wobec tego zasyłam Wielmożnemu Panu najserdeczniejsze podziękowanie i starać się będę Wielce Szanowną Firmę polecać każdemu z pp. myśliwych.

Z okazji zbliżającego się Nowego Roku, życzę W. Panu dużo zdrowia, wszelkiej pomyślności i jak najlepszych interesów.

Kreślę się z wysokim poważaniem
Zawsze wdzięczny ( ) JAN ŻUBEK
Spółka Browaru w Mikulińcach (pieczęć).





NA NAJTRUDNIEJSZYCH ZAWODACH EUROPEJSKICH. *W Le Mans* Najsłynniejsze sportowe samochody świata! 24 godziny na najszybszym biegu, śród dobrych i złych terenów przez wzgórza strome i zakręty niespodziane. Maszyny ciche, komfortowe pędzą w przestrzeń bez wysiłku i finiszują w doskonałym stanie.

Choć ich konstrukcja nie ma zamierzeń służenia do celów zawodniczych, Chryslery zajmują pierwsze miejsca.

W Spa. Znów 24 godziny na jeszcze trudniejszym torze biegną Chryslery i zdobywają drugie i trzecie miejsca w wyścigu, zaś pierwsze, drugie, trzecie i czwarte w swej klasie.

5 Chryslerów bierze udział i wszystkie 5 finiszują.

Każdy samochód Chryslera posiada zalety zwycięskich modeli z Le Mans i Spa:

Szybkość – akceleracja – cichość – wytworny komfort – sześciocylindrowy motor o siedmiołożyskowym wale korbowym – hamulce hydrauliczne na 4 kołach – resory mocowane w uchwytach gumowych – oto przyczyny dla których Chrysler jest niezaprzeczenie chlubą automobilizmu.

Chrysler – maszyna, która zdobyła sławę w Le Mans i Spa.

OBEJRZYJ I WYPRÓBUJ CHRYSLERA DZIŚ JESZCZE!

JENERALNA REPREZENTACJA NA POLSKĘ I W. M. GDAŃSK: „AUTO-KONCERN" WARSZAWA.
SALON WYSTAWOWY: WILCZA 9-A, TELEFON 123-27. BIURO: WIERZBOWA 8, TELEFON 123-29.



Koliba w nadleśn. Worochta. Fot. H. Knothe.

NA GŁUSZCE W KARPATACH.

Wiele, bo przeszło 20 wiosen, spędziłem na błotnistych terenach Wileńszczyzny, Polesia, Grodzieńszczyzny i Mińszczyzny, oraz w północnych guberniach Rosji; mogę się także pochwalić ogromną ilością zdobytych trofeów w czasie polowań na głuszce, lecz nieznane mi były dotychczas wrażenia tego polowania w górach.

Od kilku lat było mojem pragnieniem i dążeniem, by polować w górach, aż wreszcie w zeszłym sezonie wiosennym marzenie moje urzeczywistniło się. Terenem polowania były Karpaty w nadleśnictwie Worochta. Zawdzięczając Ministerstwu Rolnictwa i Dyrekcji Lasów Państw. we Lwowie, otrzymałem pozwolenie odstrzału 2 głuszców w lasach górskich. Z nadzwyczajną uprzejmością, udogodnieniami i gościnnością zorganizował mi tę wyprawę p. nadleśniczy Hirsch z Worochty.

Już do Warszawy przysłał mi p. Hirsch list z dokładnym opisem terenu i sposobów komunikacji, oraz warunków, w jakich będę polował. Doświadczenie moje dało mi możność zupełnego zorjentowania się, jak należy się wybrać na taką wyprawę. I rzeczywiście po raz pierwszy niczego nie zapomniałem, ani też niczego nie brakło. W ślad za swym listem dn. 16/4 przybyła do mnie depesza treści następującej: „Tok rozpoczęty, proszę przyjechać". Był to okres strasznej pogody: wichry i śnieżyce rozpętały się, trzeba było czekać na okres spokojniejszy i dlatego ułożyłem sobie plan, iż najpierw pojadę do Lwowa, załatwić tam kilka interesów, a stamtąd dopiero dalej w drogę.

Przy pięknej już pogodzie dn. 22.4 siadłem na dworcu we Lwowie do pociągu, który szedł w stronę Stanisławowa. Do przedziału mego wsiadł drugi myśliwy, który wyruszył z tym samym zamiarem w tamte strony. Mile więc schodził nam czas na pogawędce i dopiero w Stanisławowie, gdzie należało się przesiąść, spostrzegliśmy, że połowa drogi do Worochty już upłynęła. Była pora obiadowa, więc pokrzepiwszy się, ruszyliśmy dalej w drogę z zamiarem poobiedniej drzemki. Kiedy obudziłem się, mego towarzysza już nie było, a pierwszą stacją okazało się Jaremcze, miejscowość położona już dosyć wysoko w górach i bardzo malownicza. Od tej chwili góry nasycały mój wzrok swym pięknym widokiem aż do samej Worochty.

Na stacji w Worochcie oczekiwał mnie służący pensjonatu, w którym przygotowano dla mnie pokój. W kilka minut po mojem przybyciu do pensjonatu zjawił się posłaniec p. Hirscha z oznajmieniem, że p. Hirsch obecnie ma posiedzenie, lecz po jego ukończeniu zaraz przybędzie mnie przywitać. Niedługo też czekałem na miłego i gościnnego gospodarza, bo po upływie pół godziny przybyli pp. Hirsch i inspektor Markiewicz. Wieczór ten spędziliśmy razem na pogawędce o dawnych wspomnieniach myśliwskich i omówieniu dalszej mojej wyprawy, naznaczonej na dzień następny.

O piątej godzinie zbudził mnie służący, gdyż było jeszcze kilka sprawunków do załatwienia, trzeba było bowiem zakupić mięsa i chleba dla 4 ludzi, imbryk do herbaty, cukier, i t. p., konieczne przedmioty. Już o godz. 7-ej siedziałem na bryczce, która dowiozła mnie do kolejki leśnej, należącej do firmy prywatnej, wywożącej drzewo z gór. Przejeżdżając przez Worochtę, podziwiałem jej urządzenia kolejowe.

Na stacji zastałem oczekujących dwóch panów z firmy drzewnej, wkrótce przybyli też pp. inż. Hirsch i inspektor Markiewicz, z którymi wyruszyłem razem w dalszą drogę. Kolejka dowiozła nas przez ładną okolicę do leśniczówki, przy której oczekiwał mnie p. X. ze strzelcem, dwoma huculami i dobrą parą koni. Tam odbył się ceremonjał oddania mnie pod opiekę strzelcowi, który miał już poprzednio dane dokładne polecenie i wskazówki, jak ma się zająć moją wyprawą.

Gościnna pani domu w leśniczówce pozwoliła mi puścić się w dalszą drogę po należytem nakarmieniu mnie. Wszystko to trwało krótko, widoczną bowiem była we wszystkiem doskonała organizacja. Już o godz. 11, straciwszy zaledwie pół godziny, wyruszyłem furmanką przez piękną okolicę po bardzo złej jednak drodze, do siedziby i posiadłości huculi, położonej na równinie u stóp szczytów górskich, na których miałem polować. W drodze nie mogłem się dosyć nasycić widokami najbliższego otoczenia i dalszymi krajobrazami, zmieniającymi się ustawicznie, jak w panoramie. Szczyty gór pokryte były jeszcze grubo śniegiem, na południowych zaś ich stokach widniała wszędzie zieloność i miljony wiosennych kwiatów, od których wprost całe polany były barwy niebieskiej, żółtej i różowej. A słońce tak cudownie opromieniało cały ten widok! Mnóstwo wezbranych strumyków i maleńkich wodospadów dekorowało cały ten krajobraz. Powietrze było tak czyste i przezrocze, iż na odległość kilkunastu kilometrów widoczne były rysy na skałach i tyczki punktów triangulacyjnych. W takiem otoczeniu, jadąc krok za krokiem, na wózku podtrzymywanym przez dwóch huculów i strzelca, spędzałem godziny monotonnej jazdy.

O godz. 2-ej byliśmy na połoninie, skąd już dalsza droga prowadziła pieszo. Żadnym innym środkiem komunikacji niemożliwe byłoby dostać się do koliby na tokowisko.

Obładowani rozpoczęliśmy wędrówkę. Początkowo szło się nam zupełnie nieźle, lecz niestety, już po upływie 20 minut dotarliśmy do stromej ścieżki, wijącej się wężykowato pod górę po stoku tak pionowym i tak trudnym do pieszej wędrówki, że po kilku minutach nietylko ja, lecz i towarzyszący mi huculi — byliśmy mokrzy od potu. Wędrówka ta z powodu trudności marszu, wydawała nam się bez końca; z każdą minutą prawie traciłem nadzieję zdziałania czegokolwiek, widząc, jakie mnie czekają trudności. Stromość góry, zwartość drzewostanu, wysokość dziewiczych drzew i bezgraniczna ilość najeżonych zwałów, wszystko to uniemożliwiało poprostu pochód po tak zwanej ścieżce. Myślałem więc sobie, co będzie wobec tego z podskakiwaniem głuszca? Od czasu do czasu zapytywałem przewodnika, czy jeszcze daleko, i ciągle otrzymywałem tę samą odpowiedź: „Już niedaleko!" A tu godzina upływała za godziną na tej mozolnej wędrówce. Nareszcie strzelec odezwał się: „Już widać kolibę" i w tymże momencie z pod nóg jego zerwała się kwokcząca głuszyca. „Oto miejsce, gdzie zawsze jeden głuszec tokuje" — usłyszałem z ust strzelca.

Przystanąwszy, rozejrzałem się i widzę: koliba o jakieś 50 kroków przed nami w górze, miejsce tak dzikie i szczelnie zawalone powałem, iż nie widać wokoło nic. Jedynie koliba widnieje jednym rożkiem z tej gęstwy. Jak na obstalunek, zerwała się głuszyca, stwierdzając fakt, że głuszce tu są. Nie mając tej pewności, straciłbym wiele na humorze, zdając sobie jasno sprawę, że polowanie na takim terenie, to nie przelewki.

Pozatem byłem zdziwiony bliskością koliby od tokowiska. Sądziłem początkowo, iż strzelec jest niedoświadczony i nie ma pojęcia o ostrożności głuszców. Słowem, nie żywiłem wielkiej nadziei na udatny rezultat tego polowania. A jednak, jak byłem w sądzie względem strzelca niesprawiedliwy, przekonałem się znacznie później.

Do koliby można było dostać się prawie na czworakach. Dotarliśmy do niej o godz. 6-ej. Nie było na nas suchej nitki, więc zaraz rozpalono ognisko dla ogrzania się i osuszenia. Przebrałem się w świeżą bieliznę, włożyłem futerko i rozciągnąłem się wygodnie na ławie. Tymczasem huculi szykowali herbatę i posiłek, o którym narazie ze zmęczenia nie mogłem myśleć. Ale stan ten trwał dość krótko, gdyż po upływie godziny byłem już wypoczęty, po herbacie, i w zupełnie dobrym humorze wyszedłem przed kolibę.

Uroczo poprostu wyglądała ta mała, misternie sklecona i bardzo dobrze przytem zbudowana koliba. Widać na niej było znakomitą organizację. Zbudowana była z grubych świerków, pokryta dachem z desek łupanej świerczyny, miała ściany o wysokości 1,20 mtr. o płaszczyźnie $^{1}/_{3}$ metra. Między pryczami stał niewieki stolik z takich samych, jak i dach, desek; trzy wygodne ławy, wysłane igliwiem świerczyny, zastępujące materace — to było całe umeblowanie. Podłoga wyłożona była w ten sam sposób, a w jednym z rogów przy drzwiach zbudowano podwyższenie z płaskich kamieni na palenisko, nad którem zrobiono w dachu otwór jako komin dla wypuszczania tamtędy dymu. Koliba ta, nowo-zbudowana, gwarantowała nam pewne zabezpieczenie od dokuczliwego robactwa.



Na zasiadce w Worochcie. Fot. H. Knothe.

W odległości 10 kroków od niej sączyło się małe źródełko jeszcze z pod śniegu. Z koliby tej, która miała być ośrodkiem mego czterodniowego pobytu w górach, urzeczywistniłem całe polowanie i wycieczki, uważając ją za bardzo wygodny punkt do tych celów.

Nadszedł czas na podsłuchy, t. j. zasadzanie głuszców. Więc bez broni udaliśmy się ze strzelcem na oznaczone, odległe o 100 kroków miejsce. Na górze leżał jeszcze śnieg na jakie 3 — 4 cale głęboki. Krok za krokiem posuwaliśmy się bardzo wolno naprzód. Zdziwienie moje było bardzo wielkie, gdym spostrzegł, iż strzelec prowadzi mnie w kierunku kilku powałów; pomyślałem sobie: „Przecież tędy niema

mowy o przejściu!" Jeszcze więcej zdziwiłem się, spostrzegłszy ułożoną przez powały kładkę, stanowiącą w ten sposób najlepszy i najdogodniejszy kawałek drogi. Ślizgając się, oddaliliśmy się o jakie 75 kroków od koliby i tu strzelec oświadczył, iż będziemy czekali.

Rozejrzawszy się wokoło ciekawie, zauważyłem o kilka kroków wygodne miejsce na powale, na którem można było spocząć. Jak w puchowej poduszce, zagłębiłem się w siedzenie ze mchu, obrastającego olbrzymi, kilkudziesięcioletni świerk, nawpół zgniły. Tymczasem ściemniło się zupełnie, a głuszców nie było słychać. Tak beznadziejnie czekaliśmy około 1½ godziny, a przez ten czas ani jeden głuszec nie zasiadł. Każdy z myśliwych, zasadzających głuszce, zrozumie łatwo, do jakich pesymistycznych myśli i wniosków musiały mnie doprowadzić niepowodzenia tego wieczoru. „Wszystko blaga, — głuszców tu niema" — myślałem ustawicznie. Po pewnym czasie zdecydowaliśmy wreszcie wracać. Za powód niepowodzenia zacząłem uważać bliskość koliby, której dym mógł odstraszać głuszce. Powrót trwał przeszło godzinę przy jeszcze jakim takim blasku dziennym. W każdym razie chyba z 10 razy leżałem na ziemi, ślizgając się na niepewnym gruncie i chwytając za korzenie i drzewa.



Tu zabiłem pierwszego głuszca. Fot. H. Knothe.

Powróciwszy do koliby, uczułem się dosyć przygnębiony, a i mina strzelca też nie była weselsza. Tłómaczył się, opowiadając, że jeszcze dwa dni temu obserwował głuszce przez dwie godziny, jak grały w tem miejscu. Lecz mnie to opowiadanie wydało się niezbyt wiarogodnem.

Mimo wszystko, zdecydowałem się udać rano na tokowisko. Noc była piękna i cicha; gwiazdy skrzyły się na firmamencie, z czego przepowiadałem lekki mróz rano, lecz, jak się potem przekonałem, wcale go nie było.

Zmęczony po całodziennych trudach i wrażeniach dziennych, pokrzepiwszy się, usnąłem snem kamiennym na miękkiem, jedlinowem posłaniu i dopiero nad ranem obudził mnie budzik o godz. 2-ej. Rozpakowując broń, czekałem na herbatę, koło której krzątali się huculi.

Noc nad ranem była dość ciemna, zwłaszcza na początku, kiedy oczy moje, przywykłe do ognia, z trudnością przebijały ciemności. To też niewidziałem prawie nic po opuszczeniu koliby i tylko za głosem szelestu posuwałem się za strzelcem. Wędrówka nasza trwała dla mnie wieki i dopiero na kładkach zacząłem rozróżniać sylwetki poszczególnych drzew, lecz strzelca w dalszym ciągu nie widziałem nawet na dwa kroki przed sobą, z powodu panujących pod drzewami mroków.

Nareszcie doszliśmy do miejsca, gdzie strzelec oznajmił mi, że tu właśnie będziemy nadsłuchiwali i czekali. Zrezygnowany, nie mając żadnej nadziei, wybrałem sobie miejsce, by jako tako ustać; o bok świerka oparłem broń i wsłuchiwałem się w nadzwyczajną ciszę lasu, panującą dokoła. Od czasu do czasu odezwał się jakiś nocny ptak; słychać było puhacze, zaszumiała gałązka, a potem zapadała znowu głucha cisza.

Na wschodzie zaczęło już jaśnieć, szczyty górskie rysowały się różową barwą, powietrze przesycało się perłowym blaskiem wschodu, stając się coraz przejrzystszem. Do tego cudownego ranka brakowało mi tylko pieśni trubadura leśnego, — głuszca. W chwilę potem posłyszałem tak dobrze znany mi jego głos, wyróżniający się wśród innych, poczem zapadła znowu cisza. „Nie, to pewnie wydawało mi się tylko" pomyślałem sobie z rozczarowaniem. Czekając, obserwowałem budzenie się przyrody: W gęstwinach i zaroślach ptaki rozpoczynały swe ranne śpiewy, dzięcioły stukały zawzięcie, szumiały gałęzie. Tylko puhacze zamilkły. Wśród wielu tonów i śpiewów leśnych rozróżniłem z łatwością najpierw ciche, potem głośniejsze kwoktanie nadlatującej głuszycy, a potem, jak na komendę, z dwóch stron rozpoczęły śpiew głuszce. Zrobiło mi się zarazem gorąco i zimno, bo oba ptaki były nie dalej odemnie, jak na odległość 50 kroków. Spojrzawszy na twarz strzelca, zobaczyłem na niej tryumf, wyrzut za moją wczorajszą nieufność, radość i pewność siebie. Zbliżywszy się do mnie, szeptem poradził mi, bym się nie ruszał z miejsca, gdyż głuszec, ten na lewo, usiądzie tuż przed nami na ziemi i będzie grał. Lecz ja sądziłem, że będzie tak, jak na nizinach, t. j. kilka skoków w stronę głuszca, i... zdobycz gotowa. Jednak omyliłem się! Głuszec na prawo grał lepiej i droga do niego wydawała mi się lepszą, przynajmniej początkowo, kiedy jeszcze nie spostrzegłem masy wywrotów na niej. Nie posłuchawszy więc strzelca, zacząłem podchodzić głuszca na prawo pod górę.

Próżne marzenia! Dopiero po przebyciu kilku kroków, musiałem przyznać rację strzelcowi, przekonawszy się, że droga była nie do przebycia. Lecz stało się! Cofać się było późno, gdyż napewno byłbym się przewrócił. Więc trwam w swem postanowieniu i natężam całą swą energję, by posuwać się naprzód. Kura kwokcze coraz głośniej, słyszę, jak głuszec siada na lewo na ziemi, a w ślad za nim i ten, którego podchodzę. Wszystko to dzieje się w odległości nie większej, niż 50 kroków odemnie. Głuszce grają na ziemi znakomicie. Więc nie tracąc reszty nadziei, wpatruję się w sylwetkę tokującego głuszca, którego dostrzegam pod olbrzymim świerkiem na malutkiej polance. Widzę go wyraźnie, lecz nim zdołałem się upewnić co do jego obecności, zniknął za wywrotem, przyczem zdawało mi się, że miałem go w odległości tylko 40 kroków od siebie.

Do godz. 7-ej rano trwało to wszystko. Nie nudziłem się ani przez chwilę, a emocji miałem nie mniej, niż gdybym zdołał zabić kilka sztuk. Widziałem tego dnia głuszce podfruwające w lansadach. Ślicznie wyglądał ten ich taniec! W międzyczasie słyszałem jeszcze głos trzeciego, grającego znacznie dalej. Kury przelatywały mi nad głową i zachowywały się, jak zwykle płeć piękna — głośno, w stanie pewnej emocji i dosyć naiwnie. Doszedłem wreszcie do wniosku, że dzisiejszy ranek nie uwieńczy dzieła! Mimo to byłem zadowolony i rozradowany, gdy w promieniach wschodzącego słońca opuszczałem nocne stanowisko. Jakże cudnie wyglądały góry skrzące się bielą śniegu, osłonięte lśniącą mgłą i białemi, lekkiemi chmurkami. Piękno ich mógłby opisać literat, lub poeta, ja nie potrafię ująć go w słowa. Potrafiłem tylko patrzeć i podziwiać w milczeniu, by zapamiętać na całe życie. Wycofawszy się kilka kroków na bezpieczne miejsce, tak, aby głuszcom nie przeszkadzać w ich zabawie, usiadłem na wywrocie, zachwycając się pięknem natury. A o godz. 8-ej byłem już z powrotem w kolibie, dzieląc się wrażeniami ze strzelcem, który zwrócił mą

Połonina, do której dotarliśmy, stanowiła granicę wegetacji świerków, i miałem możność obserwowania tu walki życia roślinnego z prawami przyrody. Stały tu świerki o minimalnej wysokości, karłowate, w poważnym wieku. Drzewa te, porosłe mchami, powykręcane na wszelkie strony, dawały obraz piękny, lecz zarazem pełen smutku, uwidoczniający szalony wysiłek drzew w walce o prawo bytowania. Na połoninach panowała zupełna martwota. Zrzadka przelatywały kwiczoły, których później jednak zauważyłem większą ilość. Ptaki te towarzyszyły nam w pewnem oddaleniu, przybliżając się często i nie okazując żadnej obawy, jak to bywa na nizinach.

Z wycieczki tej powróciliśmy dość późno do koliby, gdzie trzeba było śpieszyć się z posiłkiem, by zdążyć na zapady głuszców. Jednak wszystko załatwiliśmy w porę i już o godz. 7-ej siedziałem razem ze strzelcem na jednym z wywrotów, od którego rozpoczynały się rozłożone kładki. Jak na błotach Polesia, tak i tu kładki są niezbędne, w przeciwnym razie bowiem przejście tędy do tokowiska byłoby niemożliwe.



Po polowaniu w Worochcie. Fot. H. Knothe

uwagę na wiele szczegółów, do których mógłbym sam dojść dopiero po pewnem doświadczeniu.

Dzień ten chciałem wyzyskać, planując wycieczkę w góry. Omówiłem szczegółowo jej plan. Postanowiliśmy wyruszyć w 3 — 4 godziny po trudach rannych, następnie zaś udać się w stronę południową, widoczną częściowo z naszej koliby, a kierującą nas w stronę „Czarnohory", najpotężniejszego pasma gór karpackich.

Okolica przedstawiała się z punktu obserwacyjnego cudnie i jak się potem okazało, nie zawiodłem się w swoich co do niej przypuszczeniach. Już po godzinnej wędrówce dotarliśmy do pasma śniegów, gdzie śnieg leżał jeszcze na grubość 1 metra, a miejscami i więcej. Z trudem przebywszy ten pas, dostaliśmy się do połoniny, lekko zazielenionej i obsypanej kwieciem. Wędrówka nasza trwała około 3-ch godzin. Co pewien czas przystawałem, nasycając oczy pięknymi widokami, jakie się przed nami otwierały. Lecz mimo wszystko, wiatr tak nam utrudniał dalsze posuwanie się, że trzeba było zrezygnować z dalszego marszu i wracać ku kolibie.

Wieczór zapowiadał się znowu pięknie; było cicho i tylko ptaki śpiewały jeszcze, lecz w głosach ich było słychać przepowiednię bliskiego spoczynku całej natury. Niedługo też czekałem na zjawienie się pierwszego głuszca. Zasiadł on z mniejszym szelestem i hałasem, niż czynią to głuszce na równinach, nie zmienił drzewa i jak zasiadł, tak zacichł.

Wkrótce usłyszałem drugiego i trzeciego. Zapady ich różniły się zupełnie od tych, jakie często obserwowałem na nizinach. Niema w nich tego życia, tej pewności siebie. Doznałem trochę zawodnych z tego powodu wrażeń. Ponieważ pogoda była bardzo ładna, przeto siedziałem dość długo, wpatrzony w zachód słońca i zapadający coraz częściej mrok. Tak przesiedziałem do godz. 8½. Sytuacja moja wobec zasadzenia głuszców i pewnej nabytej już znajomości terenu poprawiła się znacznie. Zdawałem sobie jednak sprawę, że do zwycięstwa dość jeszcze daleko i że ranek jutrzejszy, mimo że zanosiło się na dobre granie ptaków, nie daje gwarancji udanego polowania. Mimo wszystko, udałem się na spoczynek pełen dobrych myśli i przeczuć.

Ranek następny okazał się co do pogody jeszcze pomyślniejszym od poprzedniego. Już o godz. 2½ w nocy byłem na uprzednio upatrzonem miejscu, czekając pierwszej pieśni głuszca. Przyroda powoli budziła się ze snu i głosy ptactwa leśnego przedzierały się przez gęstwinę drzew. Wreszcie i trubadur leśny nie pozostał niemym, lecz zaczął klapać, będąc najwidoczniej zaspany, i dopiero znacznie później rozpoczął śpiew. Po nim usłyszałem także pieśń drugiego głuszca. Popłynęły one jednocześnie. Chętnie słuchałbym ich jaknajdłużej, lecz strzelec szturchnąwszy mnie lekko, szepnął: „Niech pan nie traci czasu, proszę dojść do tego grubego świerka i tam stać spokojnie, czekając, aż zleci na ziemię, a wtedy go pan ujrzy!" Idąc za radą strzelca, zacząłem się ostrożnie posuwać w kierunku wskazanego świerka. Trudna to była przeprawa, lecz przecie w końcu przedostałem się do drzewa, mówiąc sobie w duchu: „Niech będzie co chce, lecz mimo wszystko, nie będę strzelał na ziemi!" Obliczyłem więc, iż muszę zbliżyć się do niego przynajmniej o 30 kroków, by wogóle dojść do strzału. Spostrzegłem wkrótce, ze muszę poniechać swych zamiarów, gdyż ku ziemi, odbijając skrzydłami gałęzie. Głuszec spadał w stronę pochyłości góry i miał tyle siły, że odbiwszy się od ziemi i bijąc skrzydłami po niej, znikał mi w dole. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, ruszyłem za nim, by go przypadkiem nie stracić z oczu. Tak biegnąc, sam nie wiem, jakim sposobem nie zwaliłem się w dół i nie potoczyłem po stromej pochyłości góry. Jakieś 50 mtr. przebyłem prawie równomiernie z głuszcem. Widząc go leżącego na mchu, czekałem, lecz nie mogąc wytrzymać dłużej, podszedłem do niego zbyt wcześnie i oto po raz wtóry głuszec znowu jakieś 30 mtr. poleciał na dół. Nie zabrakło mi i teraz energji, by go nadal ścigać, a miałem jednocześnie tyle emocji, jak rzadko. Co chwilę widziałem go w powietrzu, a gdy opadał na ziemię, znikał mi zupełnie z oczu.

Przystanąwszy, widzę, iż posuwa się na nogach. Czułem, że jeśli go teraz stracę z oczu, to przepadnie. Spostrzegam w pewnym momencie, że wchodzi pod wywrot, a więc myślę sobie: „Dobrze, już ja cię tam dostanę!" Zbliżywszy się ostrożnie do wywrotu, poszukuję głuszca i w trakcie tych poszukiwań spostrzegam wystający kawałek jego skrzydła, wyglądającego z pod wywrotu. Położywszy broń i położywszy się samemu na wywrocie, schwyciłem go za wystające skrzydło. Radość moja i strzelca była wielka.



Powrót z polowania na głuszce w Worochcie. Fot. H. Knothe

wywrot oddziela mnie od ptaka. Co robić więc? Ryzykując, posuwam się w dół na prawo w nadziei, że może go ujrzę. Głuszec grał dobrze, więc postanowiłem podczas jego śpiewu odłamać gałęzie, przeszkadzające mi w pochodzie. Udało mi się to nadspodziewanie i powoli na czworakach przekroczyłem wywrot. Nareszcie stanąłem po jego drugiej stronie. Czułem bliską obecność głuszca i pragnąłem go tylko ujrzeć! Szukam go po otaczających świerkach i posuwam się parę kroków naprzód. Wkońcu wydaje mi się, że dostrzegam go. Patrzę, lecz nie będąc pewny, czekam lepszego światła. Chwilami tylko dla odpoczynku wzroku spoglądam na ziemię. Nagle widzę go wyraźnie! W tym momencie rozlega się gdakanie kury! Widocznie usłyszał on wcześniej głos swej kochanki i zdradził się, poruszywszy się żywiej. Zmierzyłem więc do niego, lecz w tym momencie drugi głuszec, jego rywal, zasiadł na ziemi. Byłem tem na razie tak zdetonowany, że przypuszczałem omyłkę wzrokową i nawet odłożyłem kolbę od policzka. Dopiero po powtórnem sprawdzeniu, że to nie ten głuszec zasiadł na ziemi i że podskakiwany gra na gałęzi, — strzeliłem.

Ze starego świerka poczęła spadać ciężka masa

Strzelec zaczął mi opowiadać o drugim, widzianym przez niego głuszcu, grającym opodal nas i nierobiącym sobie nic z naszego strzału, ani z hałasu mego pościgu za postrzałkiem.

Powróciliśmy do koliby, ustaliliśmy podobny porządek, jak dnia wczorajszego, a więc przedewszystkiem wypoczynek, a potem wycieczka, lecz tym razem w zupełnie inną stronę i znacznie dłuższą, bo trwającą koło 7-miu godzin. Wrażenia z wycieczki tej były częściowo podobne do poprzednich, tylko niestety, pogoda zaczęła nam niedopisywać; coraz to silniejszy wiatr dawał się we znaki, a niebo pokrywało się buremi chmurami, pędzonemi przez podmuchy wiatru. Robiło się coraz zimniej i mroźniej.

Wieczorem na podsłuchach z powodu kompletnej wichury, nie byłem w stanie prawie nic usłyszeć. W nocy zaczął padać ulewny deszcz, a w chwili naszego wyruszenia z koliby na polowanie przestawał powoli, padając rzadkiemi kroplami. Śnieg został prawie doszczętnie zmyty i dlatego stąpaliśmy po

gołej ziemi znacznie ciszej. O godz. 4-ej nad ranem usłyszałem znowu pierwszą pieśń głuszca, lecz tony te nie były ciągłe, ale ustawicznie przerywane, i dopiero przy zjawieniu się pierwszej kury pieśń wzmogła się.

Niestety, musiałem iść pod górę i podczas każdej jego pieśni posuwałem się naprzód nie więcej jak 40 — 50 cm. W podchodzeniu tem przeszkadzała mi kura, która zasiadła nie dalej, jak 20 kroków odemnie.

Podchodziłem go w ten sposób kilka godzin. Głuszec grał z przerwami: to słychać było jego pieśń, to znowu zapadało zupełne milczenie. Podchodzenie to trwało do godz. 6-ej, a więc prawie 2 godziny, podczas których kilkakrotnie się spociłem, to znowu przemarzłem. Nareszcie wydostałem się na ścieżkę, wydeptaną przez jelenie. Wywrot oddzielający mnie od głuszca, leżał na poprzek przedemną i odrazu oczom moim przedstawił się taki widok: na skośni pnia wywrotu widzę spacerującą po nim najspokojniej głuszycę w prawie złotym stroju, na tle zielonego mchu, pokrywającego aksamitnym kobiercem nawpół zgniły wywrot. Na gałęziach wywrotu zwisały również mchy brodate, tworząc coś w rodzaju frendzli.

Powrót z gór rozpoczął się przy krajobrazie zupełnie zimowym, śnieg padał w międzyczasie tak obficie, że na gałęziach drzew, załamach wzgórz, na ziemi i kamieniach — leżał białym, puszystym całunem. Było wprost cudownie wśród śnieżnej bieli, lecz za to zejście mieliśmy bardzo utrudnione, bo nogi nie mogły stąpać zbyt pewnie po śliskim gruncie.

Całą godzinę szliśmy w dół, do siedziby hucuła, gdzie siadłem na wózek i przy padającym ciągle śniegu wyruszyłem w dalszą drogę. Wokoło otaczał mnie piękny krajobraz zimowy, którego piękno można ocenić, podziwiając je własnemi oczyma. O godz. 1½ byłem w leśniczówce, gdzie znowu spożyłem obiad. Pogoda psuła się coraz bardziej. I gdy wsiadałem do oczekującego mnie parowozu, byłem bardzo rad, że mam wreszcie całkiem bezpieczny dach nad głową.

Wieczór w Worochcie spędziłem w towarzystwie pana Hirscha i jego znajomych, którym opowiadałem przeżyte wrażenia i przygody. O godz. 4-ej w nocy siedziałem już w pociągu, zdążającym do Stanisławowa.

Na polowaniu tem przeżyłem oryginalne przygody



Posiadłość huculska w Worochcie — Fot. H. Knothe.

Jednocześnie między gałęziami wywrotu, od spodu, dostrzegłem lekkie poruszenie i zaraz pokazało się, że był to właśnie tokujący głuszec. Obrazu tego nie zapomnę nigdy i wypada mi żałować jedynie, iż nie posiadając talentu malarskiego, nie mogłem widoku tego przenieść na płótno.

Polowanie skończyło się. Padł strzał, po którym biedny trubadur raz tylko uderzywszy skrzydłem o ziemię, padł, a biedna wdowa porwała się z hałasem i znikła szybko w oddali.

Pogoda w tym czasie zmieniła się fatalnie. Deszcz przeszedł w śnieg, sypiący drobno z szarych chmur. Drugi zabity przezemnie głuszec, był okazem przepięknym o nawpół białym, wspaniałym wachlarzu. Będzie on wypchany.

Podczas powrotu do koliby, ustaliłem po drodze plan powrotu do Worochty. Chciałem tylko jeszcze doczekać się w kolibie odpowiedniego światła w celu sfotografowania obu zabitych ptaków.

Rozpoczęto pakowanie manatków, przy której to funkcji górale i strzelec mieli wielce zadowolone miny, albowiem podzieliłem pozostałą aprowizację na trzy części i rozdałem im, by mieli przekonanie, że będą dźwigali raczej swoje rzeczy, niż moje myśliwskie i patrzyłem na zjawiska przyrody, których długo nie zapomnę, lecz zachowam w pamięci, jako miłe i ciekawe wspomnienia myśliwskiego życia. Nie mogę tu z całą pewnością twierdzić tego, gdyż jednorazowe polowanie na głuszce w górach nie może dać prawa do takiego zapewnienia kategorycznego. Uważam jednak, iż polowanie na głuszce na nizinach i błotach Polesia jest daleko ciekawsze i piękniejsze. W górach myśliwy nie może wykazać swej incjatywy i talentu tyle, ile jest w jego mocy czynić to na nizinach. Wprawdzie góry dają piękniejsze krajobrazy, lecz niemniej pięknym może być ranek w lasach nizinnych.

Sam ptak różni się kolosalnie w charakterze i zachowaniu się.

Toki nizinne uważam za stokroć ciekawsze i bardziej absorbujące uwagę i napięcie myśliwego, niż polowanie na tego księcia puszczy w górach.

Jestem szczęśliwy i wdzięczny, że dane mi było poznać jedno i drugie, lecz w przyszłości pojadę na błota poleskie — w czarujące oczerety.

H. KNOTHE.



O DUSZY U ZWIERZĄT.

Zagadnienie istnienia duszy u zwierząt, ich skali uczuć i zdolności psychicznych jest tak stare, jak myśl ludzka. Poprzez wszystkie wieki rozwoju ludzkości aż do dni dzisiejszych szło ono i idzie za człowiekiem i w całej swej doniosłości i potędze stawało i staje przed najpotężniejszymi umysłami ludzkimi.

Narody starożytne, narody, których duch przepotężny przyświeca nam do dziś, a których kultura i dorobek zostawiony — jest nigdy niewyczerpaną skarbnicą dla tylowiekowych spadkobierców, narody te istnienie duszy u zwierząt nie poddawały nigdy żadnej wątpliwości. Istniała nawet u nich hypoteza o reinkarnacji tegoż samego istnienia (t. j. o wędrówce dusz poprzez ciała zwierząt), wznoszącego się własnym wysiłkiem po stopniach coraz wyższego rozwoju, nieprzerwanie, aż do naszego poziomu. Teorja materjalistyczna ewolucji fizycznej spajała się tam z pojęciem ewolucji pierwiastka duchowego, przesuwającego się po szczeblach królestw niższych, aby dojść do etapu dzisiejszego człowieka i wznieść się może i dalej do innych, nieznanych przeznaczeń, gdy się wyzwoli i wyrwie z pętów tej ziemi. Zatem, w tej, czy innej formie, według narodów starożytnych, ciała zwierząt zamieszkiwała dusza, dusza, którą w ogólnym rozwoju świata brali przeważnie pod uwagę, z którą się liczyli, nad którą się zastawiali.

Nawet więcej: u narodów starożytnych odrębność otaczających ich istot żyjących i brak u zwierząt mówionego języka nadawały tymże zwierzętom w oczach tych narodów specjalnego, tajemniczego czaru. Dopatrywały się w nich cudownego pierwiastka bóstwa, który tak często pod postacią szlachetnych, rasowych zwierząt nawet czciły. Dla filozofów starożytnych człowiek sam był poprostu tylko najdoskonalszem zwierzęciem, stojącem na najwyższym szczeblu rozwoju na drabinie istnień.

I tak: Anaksagoras nazywa człowieka „najmędrszem" ze zwierząt, Sokrates najpiękniejszem, Platon — zwierzęciem, posiadającem ręce.

Następca ich, Arystoteles, który przewyższył swych poprzedników swoją wiedzą przyrodniczo-historyczną, dopatruje się w duszy zwierzęcej właściwości i wartości duszy i rozumu ludzkiego. Dowodzi on, że dusza człowieka w dzieciństwie, w pierwszych etapach swego rozwoju, jest na poziomie duszy zwierzęcej i niczem się od tamtej nie różni (Historja naturalna, 8-ma księga). Podkreśla on tam, że jedyne „uspołecznione" zwierzęta to mrówki, pszczoła i człowiek.

Zasadniczo Arystoteles uznaje 3 rodzaje duszy:

I-a to dusza roślinna — najniższa, wysila się jedynie na zdobywanie sobie pokarmów.

II — to dusza zwierzęca — czująca. Ma wszelkie cechy roślinnej, prócz tego zdolność odczuwania wszelkich wrażeń, radości i cierpień.

III-ci rodzaj duszy — to ludzka — najwyższa. Dusza twórcza. Ma w sobie wszelkie cechy duszy roślinnej i zwierzęcej, a prócz tego zdolność logicznego myślenia i zdolności twórcze. Dusza najbardziej zbliżająca człowieka do Bóstwa.

Rzymski przyrodnik, Plinjusz, potwierdzając poglądy Arystotelesa, podkreśla, jako czynnik ogromnej wagi w społeczeństwie mrówek, instynkt ich, równy ludzkiemu, grzebania swoich zmarłych.

Pierwszy pisarz ery chrześcijańskiej, Celzjusz, żyjący w drugiem stuleciu po N. Chr. dowodzi w swych pracach, że, jak między organizmem ludzkim a zwierzęcym niema właściwie anatomicznie wielkiej różnicy, tak i „dusza" zwierząt nietylko nie stoi niżej od ludzkiej, ale często ją przewyższa.

Celzjusz, opierając się na przykładach, zaczerpniętych z naukowych, szeroko przez niego opracowanych, obserwacyj życia pszczół i mrówek, mówi:

„Jeżeli ludzie myślą, że stoją o tyle wyżej od zwierząt, iż są uspołecznieni, żyją w miastach, które sobie zbudowali, wydają prawa i uznają władze zwierzchności — to mylą się w swej pysze! I pszczoły mają królewską władzę nad sobą, z którą się cały ul liczy, i one mają swoje osady, swoje rozbudowania, określony czas pracy, i to intensywnej; mają kary na leniwych i złych, prowadzą wojny, ponoszą klęski i odnoszą zwycięstwa, wymordowują zwalczonych".

Co do mrówek, Celzjusz ceni je i stawia bardzo wysoko za ich nietylko tak ogólnie znaną, przysłowiową pracowitość, oraz cudowne organizacje mrowiskowe, ale za pewien sentyment, który cechuje wzajemny stosunek mrówek. One się wzajemnie, zwłaszcza w pracy cięższej, ogromnie wspierają. Silniejsze fizycznie pomagają słabszym od siebie przenosić n. p. ciężary, i to niekoniecznie mrówki z tego samego mrowiska. Niestety, cechy tej ogólnie ludzkość nie posiada. Następnie podnosi Celzjusz ogromny zmysł praktyczno - gospodarski mrówek.

Czuwają one bardzo nad swymi zapasami zimowymi i gdy nagromadzone ziarnka zaczynają w cieple ich składów kiełkować, mrówki przebierają je. Odcinają niebezpieczne kiełki i oczyszczone w ten sposób ziarnka składają na osobne kopce, z których, jako mniej pewnych do przechowania, biorą sobie na pokarm najpierw, zostawiając zdrowe, nieporośnięte ziarnka na później. Następnie porusza Celzjusz to, co podnosi i Plinjusz, mianowicie, że mrówki mają swoje cmentarze, na których grzebią umarłe.

„I jakąż różnicę widziałby ten, coby spojrzał z wysokości na ziemię, pomiędzy ludźmi i ich pracą z jednej, a pszczołami i mrówkami z drugiej strony?" — mówi w końcu Celzjusz (Sr. Kind. „Teologja a naturalizm w czasach chrześcijaństwa średniowiecznego", Jena 1875 r.).

Chrystjanizm średniowieczny na tego rodzaju poglądy, jak Celzjusza, zezwolić nie chciał. Zwalczał je najsurowiej. I dusza zwierząt została skreślona, — tembardziej, że poglądy te poparł wtedy francuski filozof Kartezjusz, żyjący od 1596 — 1650.

Dla Kartezjusza zwierzęta — to żywe maszyny, to automaty, działające pod wpływem zewnętrznych bodźców. Wprawdzie przyznaje Kartezjusz, że są

fakty, gdy zwierzę postąpi lepiej i mądrzej od człowieka, ale toć i zegar ma w sobie maszynerję, określającą ściślej i nieomylniej czas, niż człowiek, który sobie dopiero czas podług zegara sprawdza i normuje, a przecież człowiek ma duszę, a zegar tylko — maszynerję.

Poglądy Kartezjusza, popierane gorąco przez ówczesne prądy, przesiąknęły w umysły ludzkie ówczesne i przesądziły sprawę.

Wobec takiego postawienia kwestji, o dociekaniach naukowych co do duszy zwierzęcej, o naukowych badaniach psychiki zwierząt, porównywaniu jej z ludzką, słowem o „psychologji porównawczej" nie mogło być wtedy mowy. Wszelkie próby, robione w tym kierunku, były narażone albo na lekceważenie i szyderstwo, albo wprost zabronione!

Coprawda, poglądy Kartezjusza obalał gorąco wspńłczesny mu filozof Leibnitz, krańcowo od Kartezjusza różny w swym systemie filozoficznym, nauczającym o szczeblach na drabinie organicznego rozwoju i o nieprzerwanym, ścisłym związku wszystkich istot żyjących, a zatem i ludzi, ze zwierzętami. Lecz Leibnitz był przedmiotem wielu napaści, aczkolwiek dowodzenia jego popierali uczeni tej miary, jak Tonesius, prof. niemiecki Bajer i później znacznie prof. Reclam („Duch i ciało" 1859 r.), który mówi:

„Określenie „instynkt" u zwierząt powinno być zupełnie usunięte ze słownika ludzkiego. Kto pewnych przejawów u zwierząt nie umie sobie wytłumaczyć inaczej, jak tem, nic nie mówiącem słowem instynkt; kto nie rozumie ich głębiej, nie umie sobie wytłumaczyć i naukowo badać, ani określać nie jest zdolny, — niech się wogóle wyrzeknie zabierania głosu w tej, tak ważnej dziedzinie, a płytkości swych poglądów i swego nieuctwa niech nie pokrywa tak wygodnem dlań określeniem, jak instynkt".

W miarę upływania czasu coraz częstsze i silniejsze protesty powstają przeciwko poglądom Kartezjusza. Szeregi przeciwników powiększają się. Linneusz, Buffon, G. F. Mejer w znakomitem swem dziele „Próby nowej nauki o duszy zwierząt" (Halle 1750) i wielu innych wypowiadają się przeciwko Kartezjuszowi. Nawet jezuita, Buzan, pisze słowa protestu, mianowicie:

„Zwolennicy Kartezjusza chcą świat przekonać że zwierzę — to maszyna. Wyobraźmy sobie człowieka, który lubi swój zegar tak, jak ja swego psa. Gdyby człowiek ten zaczął swój zegar głaskać i pieścić, myśląc, że ten z miłości do niego pokazuje mu godziny, wzięlibyśmy go wszyscy za głupca lub obłąkanego. Gdyby dowodzenia Kartezjusza były słuszne, to wszyscy ludzie, pieszczący swoje psy, byliby takimi samymi głupcami".

„Tymczasem ja kocham swego psa uczuciem i on kocha mnie tak samo. Wita się radośnie, gdy wracam do domu; jest apatyczny i smutny, gdy go zostawiam samego; tuli się do mnie, gdy go pieszczę; spełnia moje rozkazy lub zgóry boi się kary, gdy jest nieposłuszny, — zatem ma skalę uczuć ludzkich: radości, smutku, tęsknoty, strachu, miłości i nienawiści. Choćby zatem wszyscy filozofowie świata orzekli, że zwierzę to tylko maszyna, nie zgodzę się z nimi. I poglądy Kartezjusza będą zawsze budziły protest u każdego, umiejącego patrzeć głębiej, czuć i myśleć, człowieka!".

Najpoważniejszym, rzeczowym przeciwnikiem Kartezjusza staje się w r. 1764 francuz Leroi.

Z zawodu leśniczy, dzięki swemu fachowi ma możność lata całe śledzić bieg życia, rozwój i obyczaje zwierząt. W znakomitej Encyklopedji francuskiej zaczynają się pojawiać jego prace, narazie podpisywane pseudonimem: „Fizyk norymberski". Pseudonim ten zabezpiecza go od prześladowań Sorbony, z którą liczyć mu się trzeba, a która duszy u zwierząt uznać nie pozwala.

Tymczasem wieloletnie obserwacje dają Leroi obfity materjał naukowy, z którym narazie ostrożnie, później coraz śmielej występuje. Materjał ten, niesłychanie ciekawy, podkreśla i wykazuje właściwości psychiczne zwierząt i ich stopniowy rozwój. Opowiada np., jak wilki zbierają się na walne narady, po których urządzają gremjalne polowania i napady; jak omawiają wspólnie sposoby podstępów w zakresie swych działań wojennych; jak rozum tych zwierząt potęguje się w miarę nabytych doświadczeń; że jest olbrzymia różnica w rozumie starego, doświadczonego wilka lub lisa, a młodego; że młode wilki lub lisy popełniają szereg fatalnych w skutkach dla nich omyłek, z powodu swego niewyrobienia i bojaźliwości, czego nie dopuszczą się nigdy stare sztuki i t. d.

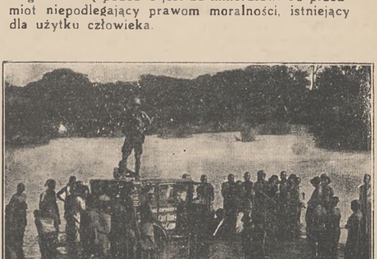
Leroi odrzuca zupełnie pojęcie „instynktu", a zastępuje je — rozumem. Przyczem, co najciekawsze dowodzi ściśle naukowo i niezbicie o dziedziczeniu u zwierząt zdolności i właściwości nabytych w ciągu życia, i wykazuje, że to, co ludzie, nie rozumiejąc, z czem mają do czynienia, określają jako instynkt w zwierzęciu, jest w rzeczywistości następstwem wielu nabytych przyzwyczajeń i cech, przechodzących z pokolenia w pokolenie, a więc dziedziczących się i przejawiających w potomkach.

Podług Leroi, zwierzęta mają swoją mowę, ktprą doskonale się porozumiewają wzajemnie, nawołują, ostrzegają, wydają rozkazy, okazują gniew lub radość — mowę zupełnie obcą człowiekowi, ale niezbicie istniejącą.

W ślad za Leroi, znakomity przyrodnik Cuvier przeprowadza obserwację nad wziętym do niewoli orangutangiem i stwierdza „wielki rozum, umiejętność kombinowania mózgiem — mianowicie, przyswajania pewnych pojęć i wyciągania z nich wniosków".

Pomimo to spory o to, czy zwierzęta są istotami myślącemi i czującemi, czy też żywemi maszynami, trwały nadal. Poglądy Kartezjusza podsycała wielka, osławiona filozofja spekulatywna, która przy swej skłonności do ściśle teoretycznych rozmyślań i wniosków, a niechęci do ścisłych badań, dociekań i wyników naukowych, z tak trudnem zagadnieniem, jak istnienie duszy u zwierząt, uporać się nie mogła.

Sam wielki Kant pytania tego nie rozwiązał. Dla niego zwierzę podobne jest do minerałów. To przedmiot niepodlegający prawom moralności, istniejący dla użytku człowieka.



Rownina Bahora pod wodą (Południowa Tanganika). Na dachu stoi kpt. Lacey, komandor ekspedycji chevroletowej.

(Zob. opis na str. 140).

Podług Kanta, zwierzę nie włada rozumem, nie zna praw ani obowiązków; można zwierzę wytresować, ale nie wychować. Człowiek w stosunku do zwierzęcia obowiązany jest do dobroci nie ze względu na zwierzę, ale na siebie samego.

„O, filozofjo!" — woła L. L. Buchner w swem dziele „Das Geistesleben der Tiere" — „o filozofjo, najwyższa z nauk, jak daleka jesteś od rzeczywistości, gdy błądzisz w sferze abstrakcji, a nie opierasz się na rzeczowych, realnych, życiowych obserwacjach i badaniach naukowych i z nich nie wyciągasz wniosków, a kierujesz się tylko własnymi poglądami i przypuszczeniami.

„Jestże to instynkt, gdy żaba zjada łakomie mnóstwo mrówek dla ich specjalnej woni i smaku, choć organizm jej za to łakomstwo pokutuje cierpieniem i chorobą; lub gdy pszczoła rzuca się chciwie i objada miodem, nasyconym alkoholem, po której to libacji traci rozum, zdolność do pracy, a często nawet życie; albo gdy pszczoła przerywa sobie budowanie plastrów woskowych, gdy jej do ula wsuną gotowe, i do tych gotowych nakłada miód, oszczędzając sobie w ten sposób nader chętnie fatygi i nakładu pracy?

Albo, gdy całe roje pszczelne nagle „zastrajkują", nie chcą sobie same zbierać miodu, a urządzają oblężenie cudzego ula, już zaopatrzonego w duży zapas miodu. Oblegają go gromadnie i zdobywają. Lub da się do cudzego, bierze je w posiadanie, rozgospodarowuje w niem i nie dopuszcza doń prawego właściciela! Czynniki, które kierują tymi postępkami, to nie instynkt. To cała gama uczuć: fałszu, podstępu, chciwości, lenistwa, tak rozpowszechnionych, niestety, w duszach ludzkich i powodujących w środowiskach ludzkich takież same postępki.

Czemuż to zwierzyna obawia się i unika człowieka, uzbrojonego w broń? Lub czemu zwierzęta młode i niedoświadczone okazują człowiekowi więcej ufności, niż stare, mające często smutne doświadczenie i pamięć poniesionych krzywd? Ptaki stare wiją sobie znacznie mocniejsze i wygodniejsze gniazda, niż młode. Nie instynktownie, lecz dzięki nabytemu doświadczeniu! Lis kradnie sobie kury, zaczajony pod kurnikiem, dopiero w tym momencie, gdy człowiek już się oddalił do swoich siedzib, a zatem na zasadzie chytrze obmyślonego, typowo złodziejskiego planu. Stada sarn i jeleni obstawiają stale polany, na których się pasą, strażą, złożoną ze starszych, a zatem doświadczonych sztuk ze stada, która to straż ostrzega je przed zbliżającem się niebezpieczeństwem.

Czemże się różni takie stado jeleni, pasące się pod osłoną swych straży, od oddziału wojska naszego, rozłożonego na odpoczynek pod osłoną pikiety?"

Przykładów takich, nietylko zaczerpniętych od Buchnera, ale wziętych z obserwacji życia zwierzęcego, obserwacji nad przejawami myśli i uczuć wprost identycznych z ludzkiemi, możnaby tu cytować niezliczoną moc.

Z każdego przejawu życia zwierzęcego wyłaniająca się myśl wrażliwa i roztętniona cała gama uczuć, tak dobrych, jak złych, podobnie człowiekowi, dusza zwierząt, o prawa swoje poprzez wieki wołająca, prawa te jednak poprzez wszystkie doktryny i systematy filozoficzne zdobywała i zdobywa. Albowiem nikt i nic głosu prawdy nie stłumi!

Walki filozofów ucichły. Szalone tempo życia, nasuwające się coraz to nowsze zagadnienia do rozwiązania, odwróciły umysły od tamtych sporów na inne, nowe tory. Niepodjudzane ciągłemi walkami uczucia ludzi w stosunku do zwierząt uległy uspokojeniu i dziś już nauka ujmuje w swoje ręce kwestje poziomu umysłowego u zwierząt, prowadzi ścisłemi metodami badanie ich zdolności umysłowych i psychicznych, a największe powagi naukowe wśród psychologów i psychjatrów zagadnieniu temu się oddają. Zoopsychologja, nauka o psychice u zwierząt, to już dział nauki, objęty na zachodzie Europy przez katedry uniwersyteckie, tylko, niestety, u nas, w Polsce, jeszcze pod uwagę nie brany. Sławny psycholog, Wilhelm Wundt już około 1890 r. wykładał na uniwersytecie w Lipsku o „Duszy u ludzi i zwierząt" — „Vorlesungen ueber die Menschen- und Tierseele", i pod tym tytułem zostały te jego wykłady wydane w ciekawem, tomowem dziele, na różne języki tłomaczonem.

W dziedzinie psychologji porównawczej dorzucają wciąż nowe światło prace uczonych i badaczy tej miary, jak Loeb, H. Parker, Jennigs, Holmes, Turner, Yerkes (amerykanie), oraz prof. Pawłow, Toropoff; jakie zaś znaczenie naukowe ma zagadnienie psychiki u zwierząt, dowodzi tego poczesne miejsce, które one zajęło, chociażby np. na kongresach: zoologicznym w Bostonie w 1907 r., i w Genewie w 1909 r., oraz na Kongresach Wszechświatowych Badań Psychicznych z lat ostatnich.

Ogromnej wagi zatem krok naprzód zrobiony! Z dziedziny sporów filozoficznych, wierzeń, przypuszczeń, obserwacyj — zagadnienie psychiki u zwierząt wstąpiło na jedyną drogę nieomylną i niezawodną — na drogę nauki.

Najpotężniejszem odkryciem XIX w. było stwierdzenie tożsamości komórek u wszystkich istot żyjących.

Rośliny, zwierzęta i ludzie stworzeni są z komórek, które stopniowo wyróżniczkowując się przez różnorodność swych form, łączeń i właściwości, dały życie owej niezliczonej ilości istot zapełniających wszechświat. Mamy żyjątka na najniższym poziomie rozwoju, które istnieją li tylko pod postacią pojedyńczych komórek, jak np. mikroby, ale tak one, jak i te, co są na najwyższym, obecnym szczeblu rozwoju, mają jednakową, podwalinową substancję żywotną wspólną — protoplazmę.

Wszystko, co żyje, rozmnaża się, karmi, stopniowo rozwija i umiera; wszystkiemu do życia potrzeba wody, powietrza, ciepła i pokarmu, i wszystko jest wrażliwe na wpływy zewnętrzne. Na różnych szczeblach rozwoju będące istoty mają wspólną konieczność oddychania i trawienia, zachodzi tylko różnica w organach, przeznaczonych do tych funkcyj, ale cel i rezultat jest ten sam. Sen jest niezbędny każdemu organizmowi, a rozmnażanie się wiecznie jednakie — z zarodka rodzicielskiego.

Istnieje zatem niezaprzeczalna tożsamość procesów żywotnych u wszystkich istot żyjących, a zatem idea pokrewieństwa powszechnego pomiędzy wszelkiem stworzeniem logicznie się z tego wysnuwa.

Pierwiastek duchowy organizuje materję. Pierwiastek ten też wspinał się wolno po szczeblach miljonów przeobrażeń istnień, zanim doszedł do swej pełni w ludzkości.



Jedno z „jezior", jakie w dużej ilości zjawiają się po każdej ulewie.

(Zob. opis na str. 140).

To, że zwierzęta stanowią przykład stopniowania rozwoju duchowego od najpierwotniejszego aż do człowieka obecnego, dziś już nie ulega żadnej wątpliwości. Znakomity badacz i uczony angielski, Georges John Romanes, w dziele swojem „Umysłowy rozwój człowieka", badając i rozstrząsając psychologję człowieka, studja swoje przeprowadza z uwzględnieniem tych zasad, które rzuciły jasne światło i na psychologję zwierząt, i dowodzi, że dopóki duch ludzki przechodzi początkowe fazy swego rozwoju, dopóty wznosi się on po szczeblach zdolności umysłowych, zupełnie równoległych do tych, które spotykamy w gatunkach psychologicznych królestwa zwierzęcego. Wykazuje on np. między innemi dowodzeniami, że życie uczuciowe zwierząt jest uderzająco podobne do życia uczuciowego człowieka, a zwłaszcza do życia emocjalnego dzieci, i że ta zgodność może być wprost uważana za dowód ich genetycznej ciągłości. To samo, twierdzi on, zachodzi i z instynktem.

U człowieka, zwłaszcza w epoce jego dzieciństwa, a nawet w wieku młodzieńczym również objawiają się bardzo silnie instynkty charakterystyczne, mające np. na celu pożywienie, samoobronę i t. d., zupełnie odpowiadające instynktom zwierząt. Wprawdzie w psychologji wielu zwierząt instynkt odgrywa znacznie większą rolę, niż w życiu duchowem człowieka, jednak fakt ten nie zaprzecza według tego uczonego, tożsamości zasad. Bo, jak mówi Romanes, jeżeliby ktoś twierdził, że duch ludzki gatunkowo różni się od ducha zwierząt tem, że nie posiada instynktów takich, jak np. przędzenie pajęczyny lub budowanie gniazd, — to możnaby mu odpowiedzieć, że na tej samej zasadzie duch pająka musiałby się gatunkowo różnić od ducha ptaka!

W sferze wzruszeń, które obserwujemy u zwierząt, również rzuca się w oczy fakt, że pole psychologiczne, które te wzruszenia obejmują, pokrywa zupełnie pole psychologiczne, zajęte przez zdolności emocjonalne człowieka. Strach, zdziwienie, chęć walki, ciekawość, chęć zabawy, duma, nienawiść, mściwość, gniew, okrucieństwo, łagodność, wstyd, podstępność, wesołość, — są to uczucia równie silnie opanowujące, władające i kierujące człowiekiem i jego czynami, jak zwierzętami i ich postępkami.

Co do zdolności rozumu u zwierząt, to jakkolwiek olbrzymia niewątpliwie zachodzi różnica ze zdolnościami rozumu człowieka, to jednak do pewnego stopnia, a mianowicie, do wyższego szczebla inteligencji, do której zwierzę zdolne jest się wznieść, — nietylko zachodzi zgodność gatunkowa, ale nawet tożsamość.

Romanes widzi niewątpliwą różnicę w zdolnościach tych dwóch światów, ludzkiego i zwierzęcego — tam dopiero, gdzie inteligencja zwierząt się kończy i, jak dotąd, naprzód nie poszła, a gdzie się zaczyna specyficzna, ludzka, — na tym stopniu, gdzie potężny duch ludzki jest już w posiadaniu wielu ze swoich niezmiernie użytecznych własności, z któremi już w dalszym ciągu swego rozwoju się nie rozstaje, lecz przeciwnie, zabiera je z sobą.

Co do podobieństwa zachodzącego pomiędzy psychologją człowieka a zwierząt, znakomity przyrodnik i znany psycholog, prezes sekcji biologicznej Stowarzyszenia Brytańskiego, Mivart mówi:

„Niewolno nam ignorować cudownych zdolności zwierząt, ani podobieństwa ich działań do działań ludzkich, wiele bowiem uczuć, wzruszeń i wrażeń zmysłowych u zwierąt jest bardzo podobnych do naszych własnych. Nikt nie może zaprzeczyć, że zwierzęta wykonywują ruchy dowolne i nieraz za pomocą bardzo skomplikowanych czynności dążą do celów wytkniętych. Widzimy też, że zwierzęta korzystają z przeszłych doświadczeń i ze spostrzeżeń połączonych z pamięcią faktów minionych; że wyprowadzają z nich wnioski praktyczne i wykazują tem, iż rozumieją stosunki zachodzące pomiędzy przedmiotami, tak, że śmiało można twierdzić, iż znają się na stosunkach rzeczy do siebie. Objawiają też one i pewne wahania, które mają wszelkie pozory walki wewnętrznej pomiędzy różnemi zachceniami i kończą się przejawem aktu woli, oraz okazują wyraźne ślady wstydu będącego punktem wyjścia dla uczuć moralnych".

Huxley zaś idzie tak daleko, że powiada: „Skąd mamy pewność, że inni ludzie czują tak samo, jak i my?" Jedynym dowodem na to jest analogja wyprowadzona z podobieństwa ich budowy i czynności do naszych własnych. Jeżeli zaś ten dowód jest wystarczający odnośnie do człowieka, dlaczego nie ma być wystarczający dla zwierząt?". (Critiques and Adresses, str. 262).

Co bezwzględnie odróżnia zwierzęta od ludzi i wynosi człowieka na wyżyny, których zwierzę nigdy może nie osiągnie, to ludzka zdolność abstrakcji, która zwierzętom jest jednak nieznana. „Zdolność tworzenia ogólnych idei stanowi kardynalną różnicę pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Tej zdolności zwierzęta nie mają i ta to różnica oddziela ród ludzki od zwierząt nieprzebytą przepaścią! Jest to różnica, która początkowo będąc nieznaczną, powiększa się z biegiem wieków, aż doszła do przeciwległych biegunów ducha! Gdyż postępując wciąż naprzód po linji swojego rozwoju, umysł ludzki doszedł do zdolności rozmyślania nad abstrakcjami tyczącemi się jego samego i bardzo różniącemi się od zmysłowych spostrzeżeń przedmiotów konkretnych, co jest koniecznym warunkiem dla wszystkich dalszych stopni rozwoju myślenia.

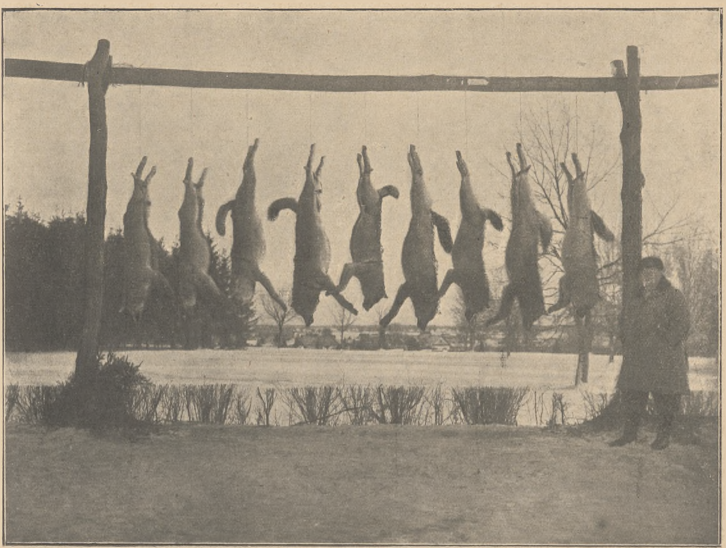
Pewną zdolność tworzenia idei zwierzęta jednak mają, idei najprostszego porządku i nawet porównywania ich i wiązania w zależną od siebie całość. Porównywanie jednak idei u zwierząt nie sięga dalej, niż do niektórych zmysłowych własności, z samymi przedmiotami połączonych.

Różnica zatem pomiędzy światem zwierzęcym a ludzkim polega na różnicy wysokości szczytów, na które ludzkość już się wspięła i doszły zwierzęta. Podstawy i początkowy rozwój mamy wyraźnie wspólne, od pewnego jednak punktu rozwoju ludzkość poszła szybko naprzód, zwierzęta zaś posuwają się wolno. Dlatego też rozwój mowy jest u ludzi kultury w pełni swego rozkwitu, jest u szczytów, u zwierząt zaś, zależnie od ich gatunków i odmian wciąż jeszcze na niskim stopniu rozwoju, w kolebce i wolno się naprzód posuwa. Bo zwierzęta mają swoją mowę, a to, że one nie mają z powodu różnicy w budowie anatomicznej, mowy artykułowanej, absolutnie nie dowodzi tego, iż one wogóle nie mają swojej mowy. To, że język zwierząt jest nam niezrozumiały, że jest inny, że na innym poziomie utrzymany jest sposób porozumiewania się zwierząt pomiędzy sobą, niż to jest właściwe nam, ludziom, — nie może zaprzeczać istnienia mowy u zwierząt. One ją posiadają i niektóre z gatunków zwierzęcych władają nawet swoją mową w dosyć obszernej skali! Ktoby się tem zagadnieniem głębiej zainteresował, odesłać go mogę do mojej książki „Tajniki świata zwierzęcego", tej jesieni wydanej, gdzie temat ten „mowy u zwierząt" obszernie opracowałam.

A zatem, rozum i zdolności psychiczne zwierząt zostały wreszcie naukowo uznane. Ludzkość doby ostatniej, rozumowi hołdująca, przejawy rozumu u zwierząt uznała. Dobrzeby jednak było, aby nietylko jednostki wybrane, nietylko wybitniejsze umysły, ale i ogół ludzi u nas, aby szary tłum narodu do świata zwierzęcego się zbliżył.

JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

POLOWANIE NA WILKI.



Pokot wilków. Pod drzewem ks. Radziwiłł.

W ordynacji Dawidgródeckiej księcia Karola Radziwiłła odbyło się polowanie na wilki z fladrami przez cztery dni. Każdego dnia wzięto jeden ostęp. Zabito dziewięć wilków. Pierwszego dnia polowano w nadleśnictwie Stasińskiem. Wilki, których było dwa, były zamknięte fladrami i wyszły na hr. Pawła Potockiego, który obydwa położył. Drugiego dnia polowano w Tursko - Ladeckiem nadleśnictwie. Było zamkniętych 5 wilków; zabito 3 sztuki: jednego zabił p. Józef Jabłonowski, drugiego hr. Jerzy Potocki i trzeciego hr. Paweł Potocki.

Trzeciego dnia polowano w Wielemieckiem podleśnictwie. Cztery wilki dnia poprzedniego były otropione i zamknięte we fladrach. Przenocowały, nie wychodząc z fladr. Miot ten był pędzony dwa razy, gdyż jeden wilk strzelany i ranny lekko, cofnął się przez nagankę, jednakże przeszedłszy cały ostęp, doszedł do fladr i nie ośmielił się przez nie przejść. Dopiero w drugiem pędzeniu został zabity przez p. Józefa Jabłonowskiego. Drugiego zabił p. pułkownik Wołkowicki. Razem zabito w tym ostępie dwa wilki.

Czwartego dnia był wzięty ostęp w nadleśnictwie Stasińskiem, gdzie były zamknięte cztery wilki. Zabito 2 wilki, z których hr. Paweł Potocki zabił jednego i ordynat Cyryl Czarkowski - Golejewski drugiego.

W czasie polowania goście ranili kilka wilków. Wszystkie wilki, które były w miotach, były strzelane przez gości.

Ogólny rezultat polowania przedstawia się następująco:

1. hr. Paweł Potocki zabił 4 wilki,
2. p. Józef Jabłonowski zabił 2 wilki,
3. p. pułkownik Wołkowicki zabił 1 wilka,
4. hr. Jerzy Potocki zabił 1 wilka,
5. ordynat Cyryl Czarkowski - Golejewski zabił 1 wilka.

Razem 9 wilków.

Pierwszych czterech myśliwych pozabijało swoje pierwsze wilki w życiu.

DWA PIEKŁA.

HUMORESKA.

Mój sąsiad, pan Stanisław, wkroczył do mnie, niosąc strzelbę, torbę i pas z ładunkami, a za nim wbiegł spory lawerak.

Pan Stanisław zaczął wołać:

— A pudziesz! Ty podła bestjo! A pu!

A ja na to, drzwi zamykając:

— Dlaczego wypędzasz tego ślicznego pieska? Zostaw go!

Pan Stanisław zastrząsł się z gniewu:

— To jest przyczyna mojego nieszczęścia! O! gdy tylko będę mógł, wyjadę za miasto i wpakuję temu bydlęciu kulę w łeb! Masz! Schowaj to!

I podał mi swoje przybory myśliwskie, a sam wpadł do dalszych apartamentów (trzy pokoje, kuchnia i przedpokój) wołając:

— Tego zwierzaka wyrzuć za drzwi!.

Ale zwierzak ukrył się pod kanapą (Ludwik Filip), a ja zresztą nie miałem zamiaru pozbawiać go prawa azylu.

Usiedliśmy, ja na fotelu, a on na krześle (gdyż oświadczył, że na miękkiem nie lubi), zapaliliśmy Madena i gość zaczął wzdychać, a ja mu współczuć.

— Powiedz mi — zacząłem dyskretnie...

— Pozwól... niech odetchnę, a zaraz się dowiesz o wszystkiem... — odrzekł melancholijnie i naraz z pasją:

— On tam sapie!

— Kto? Nie słyszę...

— Ale ja słyszę! Ten ohydny czworonóg! Tam, pod tym rozłożystym sprzętem.

— Mój drogi, uprzedzasz się...

— Ja się uprzedzam? Ja? Słuchaj! Gdy ci opowiem, ile nieszczęść to bydlę... Ach! Wiesz? Wyrzucę go przez okno! Które tu piętro?

— Drugie...

— A prawda! Przecież mieszkamy drzwi w drzwi.. Tylko ty nie polujesz, i jesteś szczęśliwy, a ja...

— Jakto? Przecie kochasz się w łowiectwie?

— Już teraz nie... O! Chyba, że będę miał innego psa...

Zapalił drugiego papierosa i pogrążył się w zadumie...

Nie przeszkadzałem mu, jako świadomy, że wszelka dusza cierpiąca musi pogrążyć się w cichości, aby przeżuć i przetrawić pokarm przeciwności losowej.

Więc przyniosłem butlę i kilonki, z kuchni zafasowałem kęs pieczeni, przygotowanej na jutrzejszą wycieczkę (jutro niedziela), i postawiłem to wszystko przed nim, aby pokrzepił swe siły, zwątlone w walce z nieznaną mi jeszcze niedolą. Nie odmówił, wypił raz, przekąsił, wypił drugi przekąsił, (pieczeń była znakomita), wypił trzeci (ja ciągle z nim), poprawiliśmy czwartym, piątego odmówił, zastrzegając się, że narazie, i uścisnąwszy moją dłoń serdecznie, zaczął mówić w te słowa:

— Wiesz, kochany przyjacielu, że jestem człowiek... a propos... czy jesteśmy sami?

— Sami... Żona z dziećmi na spacerze, a Leonka w kinie...

— Co za Leonka?

— Nasza nowa służąca. Powiadam ci, model dla malarza, zachwycamy się nią... To jest właściwie ja, bo żona... Rozumiesz mnie...

— Rozumiem cię... odrzekł pan Stanisław z uczuciem, i zaczął na nowo:

— Wiesz, że jestem człowiek spokojny, nie gram w karty, nie jestem trunkowy...

— Może jeszcze po jednym — wtrąciłem.

— Owszem... odrzekł zgodnie pan Stanisław. Więc wypiliśmy po dwa, i zaczęło się opowiadanie:

— Jak wiesz, ciotka Rozalja ma córkę malarkę...

— Nie wiedziałem.

— Więc teraz wiesz. Otóż Zizia...

— Kto to Zizia?

— Córka ciotki Rozalji. Nie przerywaj. Otóż Zizia namalowała na wełniaku kotka, a ciocia Rózia oprawiła to w poduszkę i ofiarowała mojej żonie... A dzisiaj, ten przeklęty lawerak, bodaj z piekła nie wyjrzał, pożarł tę poduszkę!

— Pożarł?

— No, poszarpał, porozrywał, bo widzisz, w środku była trawa i trzeba zdarzenia, z gatunku chętnie przez te zwierzaki jadanego...

— I co?

— I to, że zaczęło się piekło... Na dobitkę nadeszła ciocia Rózia z Zizią i lament:

— Taka śliczna poduszka! Takie piękne malarstwo! Zizia chciała dać na wystawę, ledwie ją uprosiłam, że dała tę poduszkę dla ciebie, a ty nie uszanowałaś pracy mego dziecka! Pracy twórczej, natchnionej, dzieła — któreby jej dało sławę! Myszkorowski się zachwycał i dawał sto złotych, a pani Ewa dawała dwieście i to na raty, a ja nie przystałam na te świetne propozycje, aby dać tobie, a ty, niegodna siostrzenico, nie uszanowałaś daru, który byłby ozdobą twego mieszkania, daru, którego widok osładzałby ci chwile zmartwień przyczynianych przez pana męża - myśliwca, który sprowadza dzikie zwierzęta - ludojady!

— Ależ ciociu, zauważyłem, to był przecież kot...

— Kot! Tak! Kot! Ale w nim było coś z Zizi, cząstka jej ducha, cząstka jej istoty, jej piękno, słodycz, wdzięk i urok, i ten zwierz to wszystko pożarł!

Moja żona zanosiła się od płaczu, Zizia zbierała kawałki, pozostała, a niestety, najważniejsza część jej dzieła, łebek kota, był w pysku laweraka. Zaczęto się za nim uganiać, ale zbrodniarz bronił zdobyczy, warcząc straszliwie i kły wyszczerzając... Wtedy moja żona chwyciła moją strzelbę et caetera i krzyknęła, zachłystując się łzami:

— Zabierz to i wynieś dokąd chcesz! Ja tego w domu mieć nie chcę i psa .. psa zabierz też!...

Ale ciocia na to:

— Nie! Nie oddawaj! Lepiej zniszczyć te narzędzia zbrodni i zamętu ogniska domowego, szczęścia małżeńskiego, powodzenia i sławy mojej utalentowanej córki! Do pieca z tem!

Gdym to usłyszał, porwałem swoje nieszczęsne, myśliwskie instrumenty i — jestem u ciebie! Ale psa zastrzelę! Gdzie on jest?

— Cyt, jest... uspokój się... jest w sypialni pod łóżkiem...

— On? Pod łóżkiem? To go nie znasz! On tylko na łóżku czuje się dobrze! Idź, zobacz!

Rzeczywiście: rozwalił sie na łóżku mojej małżonki, obskubując hafty na jajkach.

Przerażony, zacząłem go spędzać, ale on mi zęby pokazał, aż dopiero pan Stanisław kijem go poczęstowawszy, do kuchni wygnał.

Gdy to uczynił, zasiadł na fotelu (bo oświadczył mi, że na twardem nie lubi), odsapnął i rzekł:

— Teraz widzisz, jaka to miła bestja?

— No, tak, ale pewnie w polu znakomity?

Pan Stanisław parsknął śmiechem:

— W polu? Znakomity? Ha! ha! ha! Zaraz ci opowiem, a zresztą... daj papierosa. Dziękuję. Teraz słuchaj. Pojechałem z tą bestją w okolice Kuflewa...

— Tam dobrze się poluje... zauważyłem .

— Tak. Dobrze... Otóż, ledwie z nim w pole wyszedłem, oszalał: skakał, szczekał, wył, kręcił się za własnym ogonem, gonił wróble, a na mnie nie zwracał uwagi... Myślę sobie, warjat jakiś, nie pies do polowania. Dam ja temu psiarkowi, co mi go zalecił i sprzedał! Wracam tedy, a to bydlę wpadło między pastuszków piekących kartofle i porwawszy któremuś kawał chleba, legło opodal i zaczęło pożerać...

Wstyd i gniew mnie ogarnął, żałuję, żem zaraz go nie zastrzelił.. Dałem coś tam chłopakom za ich przestrach i szkodę i powracam na stację kolei ,myśląc, że gdzieś tam się mój laweraczek zagubi, ale gdzie tam! Dognał mnie i już siedzi w przedziale, warcząc na jakiegoś starozakonnego, który pobladł i zaczął drżeć z przestrachu.

Ledwie udało mi się uspokić lubą psinę, ale zanim to się stało, pasażer drugiemi drzwiami wycofał się z niebezpiecznego przedziału, zadenuncjowawszy mnie przed zawiadowcą, że wiozę wściekłego psa...

Zawiadowca poprosił mnie grzecznie, abym wysiadł z wagonu, co uczyniłem, jako że jestem wszelkiej władzy uległy, i autobusem dobrnąłem do Warszawy.

No, myślę sobie, mniejsza o niefortunne polowanie, skoro się pozbyłem laweraka... Akurat!

Na drugi dzień już był u mnie i pożarł ową poduszkę...

Skończywszy opowiadanie, pan Stanisław obejrzał się za kieliszkiem, ja chciałem ująć w dłoń butelkę, gdy nagle usłyszałem trzask drzwi otwieranych w kuchni.

— To ona wróciła... rzekłem, pewnie była za sprawunkami spożywczymi.

Wtem, rozległy się krzyki:

— A pódziesz! A pódziesz! Obrzydliwe psisko!

Zajrzałem do kuchni i cóż ujrzałem?

Przemyślny lawerak dostał się do kuchni i zastano go przy pożeraniu pieczeni, przygotowanej na jutrzejszą wycieczkę...

Pan Stanisław chwycił mnie za rękę:

— Błagam cię! Pożycz mi... daj mi . palto jakie i kapelusz... Ja uciekam!

— I ja z tobą! odrzekłem.

— O Boże! Ten pies! Tam piekło!

— I tu piekło... dodałem.

— Czyli dwa piekła... zakonkludował pan Stanisław.

Podałem mu przyodziewek, ubrałem się też i mieliśmy się ku wyjściu, gdy pan Stanisław rzekł przezornie:

— A może zabrać butelkę?

— E, poco? Pójdziemy na krupniczek do cioci Kwiecińskiej.

Wyszliśmy, a za chwilę nadbiegł za nami lawerak i poszedł wiernie u nogi swego pana...

Pan Stanisław zacisnął pięści, ale — cóż miał robić?

MIR.

NA RYKOWISKU.



Fot. S. hr. Toll.

W ostatnich dniach października otrzymałem krótkie zawiadomienie od swego znajomego, p. K., że rykowisko w pełni.

Nie namyślając się więc długo, tego samego dnia podjeżdżałem już pod dom nadleśnictwa nadzwyczaj miłych i gościnnych gospodarzy.

Wieczorem wyruszyliśmy na miejsce, obrane na zasiadkę przez miejscowego leśniczego.

Usadowiłem się w gąszczu kilku obok rosnących świerków, mając przed sobą dość obszerny widok na polankę leśną, ciągnącą się wśród cudnych buków, dębów i prastarych sosen.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, śląc przez gałęzie nawpół opadnięte z liści, ostatnie, żółtawozłote swe promienie. Niedalekie odgłosy ryczących

jeleni dolatywały mnie od strony pogranicznych lasów Prus Wschodnich.

Wiedziałem, że bojownicy leśni zwykle na plac boju przychodzili z lasów Prus Wschodnich, staczać walki z naszymi polskimi rycerzami, to też i teraz spodziewałem się ujrzeć z tamtej strony jelenie i nadzieja mnie nie zawiodła.

Z gąszczu podszycia dębowego, jak duch, cicho wysunęła się wspaniała postać króla naszych lasów.

Jeleń zatrzymał się, a kładąc swe potężne wieńce wzdłuż wyciągniętej szyi, wydał gromki głos bojowy, od którego zadrżały gałęzie drzew, a dalekie echo lasów poniosło zew bojowy w odległe knieje i rewiry.

Cudny to był widok ryczącego jelenia, ozłoconego promieniami gasnącego słońca, a tak był blisko ode mnie, że bez pomocy szkieł obliczyłem jego wieńce.

Był to silny dwunastak. Wyprężał się i wyginał swój grzbiet w lekki łuk, rysując piękną linję swego ciała, a gorący dech wyrywający się z gardła wraz z rykiem, lekką parą unosił się nad jego głową.

Jeleń postał chwilę, a gdy, pomimo zapadającego zmroku, spróbowałem sfotografować tego króla borów naszych, usłyszał lekkie moje poruszenie i pięknym, olbrzymim skokiem przemknął przez niewielką polanę i znikł w gąszczu podszycia leśnego.

Chwilę patrzyłem na to miejsce, gdzie znikł mi jeleń i w duszy szczerze pragnąłem, by uniknął zasadzki, gdzie czekała na niego śmierć z rąk zaczajonych łowców.

Niestety, w niespełna parę minut głuchem echem doleciał mnie odgłos strzału, potem dalej na następnych stanowiskach strzał drugi i trzeci i zaległa cisza.

Wyszedłem ze swego schroniska, udając się w stronę zalesionej poręby, gdzie spotkałem hr. Tolla, który rozpoczął indagację, czy jeleń koło mnie przechodził, czy też nie.

Przyznałem się odrazu, że nietylko do sarn, lecz i do jeleni stosuję swoje postanowienie: „nie zabijaj".

Idąc razem, pomimo już dobrze zapadającego zmroku, na ciemnem tle porośniętego trawą zrębu, ujrzeliśmy ciemne punkty poruszającego się stadka dzików, złożonego z 9-ciu sztuk, które kierowało się w naszą stronę.

W jednej chwili przykucnęliśmy pod brzózkami, oddaleni od siebie o kilkadziesiąt kroków, czekając podejścia dzików.

Szły one z początku wprost na mnie, potem jednak skręciły i zwróciły się w bok w stronę hr. Tolla.

Pan Toll, przepuściwszy kilka małych warchlaków, wybrał największą sztukę i strzelił ze sztucera z odległości jakichś 80 kroków.

Jak pod skinieniem czarodziejskiej różdżki, całe stadko się rozprysło w rozmaite strony i znikło nam z oczów, znikła też i wielka sztuka, strzelona przez hr. Tolla.

Nie dowierzając dzikom, szliśmy bokiem, bacznie spoglądając wzdłuż bruzd zasadzonych młodą sośniną, czy czasem gdzie nie leży lub siedzi raniona sztuka.

Ledwośmy uszli kilkadziesiąt kroków, gdy idącego przede mną hr. Tolla zaatakował z furją, głośno ciamkając, zrywający się z pod brzózek, raniony odyniec.

Zimna krew i celna kula położyła olbrzyma u samych stóp myśliwego.

Mój piękny dwunastak, którego podziwiałem, którym się zachwycałem i do którego nie strzelałem, padł rażony kulą leśniczego, drugi zaś rycerz, piękny dziesiątak, który na zew bojowy dążył z borów sąsiednich, padł na przesmyku od kuli p. Ch.

Wspaniałe te trzy zdobycze, trofea myśliwskie z jednego wieczora, uwidocznia załączona fotografja.

Dwunastak ważył po wypaproszeniu 400 f., dziesiątak 261 f., odyniec 324 f.

LEON PĘSKI.

Z KAPSZTADU DO SZTOKHOLMU.

(PRZYGODY SAMOCHODOWE I MYŚLIWSKIE).

Romantycy twierdzą, że potęgująca się z dnia na dzień urbanizacja naszego życia, jego mechanizacja, dzięki coraz to nowym „zwycięstwom maszyny", wypierającej człowieka i zwierzę z zajmowanych przez nich dotychczas placówek — zamyka życie w szrankach codziennego gwaru przyziemnego i egoistycznych trosk materjalnych, pozbawiając to życie polotu i uroku dawnego romantyzmu. Według nich, cały romantyzm zniknął bez śladu od chwili, gdy średniowiecznego artystę - rzemieślnika wyparła brutalnie bezduszna maszyna, wytwarzająca n. p. tkaniny, w których wzorach trudno już odnaleźć piętno indywidualności majstra, czy robotnika. Jest to jeden tylko drobny przykład z tej wielkiej dziś już dziedziny, gdzie automatyzm maszyny zapanował niepodzielnie nad indywidualnością człowieka, — biadają romantycy. We wszystkich niemal dziedzinach życia ludzkiego spotykamy się z podobnymi objawami, tak, że człowiek stał się poniekąd dodatkiem do swego tworu — maszyny, — powiadają nam oni.

Według nich, daleko więcej było uroku, fantazji i poezji np. w sposobie podróżowania, kiedy to zamiast kolei i samochodów, mieliśmy dyliżanse, a transport towarów uskutecznialiśmy na lądzie na karawanach, a na morzu okrętami o rozpiętych malowniczo, łabędzio - białych żaglach.



Mapa ruty ekspedycji samochodowej Kapsztad — Sztokholm. W owalu p. James Mooney, vice-prezes General Motors Corporation.

Zasadnicza cecha naszych czasów to brak romantyzmu — twierdzą niepoprawni romantycy. Czyżby? Czy karawana Buick'ów w piaszczystej pustyni Gobi jest mniej romantyczna od takiejże karawany wielbłądów?... Albo, czy harce cowboy'ów na modnych Chevroletach w pampasach Argentyny posiadają mniej uroku i poezji, niż ujeżdżanie dzikich wierzchowców?... Czyż to nie romantyzm, że napozór martwa i nieczuła maszyna okazuje się posłuszniejszą woli człowieka, niż najinteligentniejszy wierzchowiec?... A czy Rajah induski mniej jest majestatyczny w Cadillac'u, niż na grzbiecie słonia? Stanowczo nie!

Ludzie, którzy narzekają na brak romantyzmu naszych czasów, zmienią niewątpliwie swój punkt widzenia, swój pogląd powierzchowny o rzeczach, jeśli przynajmniej na jedną chwilę zastanowią się chociażby nad wyprawą samochodową od przylądka Dobrej Nadziei, poprzez piaski pustyni i gąszcze dżungli afrykańskich aż po fjordy skandynawskie.

W marcu r. z. wyruszyła z Capetown ekspedycja samochodowa poprzez Rodezję, Tanganikę, Sudan, Egipt (Aleksandrja, Kair), Syrję, Azję Mniejszą, Europę (Turcję, Bułgarję, Rumunję, Jugosławję, Szwajcarję, Francję, Belgję, Niemcy, Danję, Anglję) aż do Sztokholmu. Ogólna trasa — 10.000 mil.

Liczba uczestników wyprawy naprawdę niewielka, bo wszystkiego cztery osoby: kpt. Lacey, szofer, W. Wilson, amator - operator stacji iskrowej, Billy Williams, operator kinematograficzny i G. Makepeace, dziennikarz.

Wyprawa odbywała się na dwóch seryjnych Chevroletach — osobowym i ciężarowym — produkcji montażowej fabryki samochodów General Motors w Porcie Elżbiety w Afryce Południowej.

Została ona zaaranżowana i sfinansowana przez General Motors Corporation, olbrzymi amerykański koncern automobilowy, wyrzucający rocznie na rynek dwa miljony wozów motorowych. Nie ulega wątpliwości, że koncern ten, organizując wyprawę, miał głównie na celu stronę propagandową, ażeby dowieść światu w praktyce imponującej siły i wytrzymałości budowanych przez się wozów. Lecz pomijając cele utylitarne koncernu amerykańskiego, należy zwrócić uwagę właśnie na stronę romantyczną wyprawy.

Ekspedycja wyruszyła bez uprzedniego zbadania warunków komunikacyjnych Afryki podzwrotnikowej. Co za bezgraniczne zaufanie człowieka do swego tworu, do swego „benzynowego korabia pustyni", że zdolen jest przezwyciężyć najgorsze warunki nawet „dróg" afrykańskich, z których przeszło 1000 mil — to trzęsawiska i pustynie. Rzeki w większości wypadków bez mostów — trzeba było przebywać wbród lub poprzez naprędce budowane mosty lub też na pontonach, skonstruowanych z czółen tubylców, t. j. wydrążonych pni drzew. Pomosty tych pontonów — to bambusy powiązane bardzo prymitywnie „chingwo'ami", czyli łykami z kory pewnego gatunku drzew afrykańskich.

Karawana nowoczesnych, „benzynowych korabiów pustyni" przebyła zwycięsko Afrykę mimo ulewnych deszczów, które zalewały „drogi", nieuwidocznione na żadnej mapie, i wzdęły liczne strumienie i rzeki. Lwy często zachodziły drogę, lecz natychmiast pierzchały w trwodze, skoro tylko usłyszały furkot motoru, a nocą, oślepione światłem reflektorów, nie śmiały nawet zbliżyć się do tej dziwnej, nigdy nie spotykanej karawany.

Czterech ludzi przemierzyło na metalowych wielbłądach nierozumiejących, co to zmęczenie i strach, pustynie i dżungle afrykańskie, pozostając w stałym kontakcie z całym światem cywilizowanym za pomocą radjoaparatu. I wszystko to w porównaniu chociażby z karawaną poczciwych, czworonogich, dwugarbnych wielbłądów ma być dowodem braku romantyzmu naszych czasów?

OPIS PODRÓŻY.

DROGI AFRYKAŃSKIE.

Po wyruszeniu z Kapsztadu niezbyt długo cieszyliśmy się drogami, przypominającemi trochę Europę. Już w Rodezji musieliśmy borykać się z ciężkimi warunkami komunikacyjnymi.

Południowa Rodezja, gdzie rząd Unji Południowo-Afrykańskiej czyni duże wysiłki w kierunku utrzymania dróg w stanie możliwym, nie przedstawiała zbytnich trudności komunikacyjnych. Lecz im dalej posuwaliśmy się na północ, podróż stawała się coraz bardziej uciążliwą, tembardziej, że zaczęła się pora ulewnych deszczów i możliwe „drogi" afrykańskie zamieniły się w nieprzebyte obszary trzęsawisk. Rzekę Magoye w Południowej Rodezji przebyliśmy względnie łatwo mimo wysokich brzegów i płynących gęsto, olbrzymich pni drzewa, unoszonych wartkim prądem. Gorzej natomiast wypadła przeprawa przez rzekę Kafue, która pozbawiona mostów, a posiadająca niezwykle wartki prąd i rafy podwodne, przedstawia naprawdę trudną przeprawę dla wszystkich automobilistów. Przy pomocy tubylców dokonaliśmy jednak przeprawy na prymitywnie zbudowanych tratwach. Każdej chwili groziło niebezpieczeństwo rozbicia, lecz dzięki odwadze kap. Lacey, jego przytomności umysłu i zimnej krwi, dobiliśmy szczęśliwie do przeciwległego brzegu.

Na podstawie własnych doświadczeń radzimy szczerze, aby w porze wiosennej podczas podróży samochodowych po północnej Rodezji trzymać się — gdzie to jest możliwe — dróg starych, a unikać dróg nowych, mimo ich pozornie przyciągającego widoku, gdyż naogół twarda powierzchnia ma pod sobą grząski grunt, wobec czego samochody często zapadają się po osie. Najtrudniejszą rzeczą dla automobilisty podróżującego po południowej Rodezji jest nietyle wyszukanie drogi, ile wybranie właściwej z pośród licznych dróg biegnących w różnych kierunkach. Oczywiście, podczas suchej pory trudności są znacznie mniejsze, gdyż każdą drogą można dotrzeć do celu, będąc zaopatrzony w siekierę i w łopatę. Są to narzędzia, bez których podróż po Afryce jest niemożliwa, gdyż mogą się one przydać tam, gdzie się najmniej tego można spodziewać.



W drodze do urzędu celnego na granicy Tanganiki i Rodezji. Most zbudowany przez „czarnych inżynierów".

POWIETRZNA WALKA ORŁA Z WĘŻEM.

W piękny poranek wiosennego dnia afrykańskiego po krótkim odpoczynku w osiedlu Choma (Półn. Rodezja) wyruszyliśmy w dalszą podróż. Na przestrzeni 30 mil pogoda i droga sprzyjały znakomicie. Wszyscy byliśmy w doskonałych humorach. Zdawało się nam, że potrafimy nadrobić czas stracony podczas przeprawy przez rzeki. Napotkany, mały strumyk nikogo z nas nie wprowadził w zakłopotanie, tembardziej, że przez strumyk przerzucony był mostek. Pierwsza na mostek wjechała ciężarówka Chevrolet, lecz nie zdążyła dotrzeć nawet do połowy mostku, gdy ten osiadł na dnie strumyka, a wóz pogrążył się po osie w czarnej, gęstej glinie. Pracowaliśmy przez sześć godzin przy pomocy siekier i łopat nad wydobyciem wozu.

Zbliżając się do strumyka, zauważyliśmy w powietrzu olbrzymiego orła, trzymającego w szponach — dużych rozmiarów węża. Toczyła się w powietrzu niezwykła walka pomiędzy królem przestworzy a tak przyziemnem stworzeniem, jak wąż. Wąż wił się w szponach orła, starając się uwolnić ze śmiertelnych uścisków. Dzięki swej błyszczącej łusce wyglądał w promieniach jaskrawego słońca afrykańskiego, jak srebrna wstęga, która gwałtownymi ruchami zmieniała swe kształty. Orzeł nie dawał za wygraną i nie wypuszczał węża ze szponów. Obserwowaliśmy walkę z zaciekawieniem, starając się przewidzieć jej wynik. Zdawało się, że orzeł będzie zmuszony wypuścić swą ofiarę lub osiąść na ziemi, aby móc dobić ją dziobem, gdyż w powietrzu rzecz ta była niemożliwa do wykonania. Tak przynajmniej się nam zdawało. Jeszcze parę minut walki i wąż wyswobodzi się ze szponów drapieżnika. Wtem orzeł dokonał rzeczy niezwykłej: zgiął się w mocno wygięty pałąk i począł pożerać kawałkami wijącego się w śmiertelnych konwulsjach węża. Zakończywszy walkę zwycięsko, orzeł poszybował w przestworza.



Przeprawa przez rzekę M'Lali w Afryce Centralnej podczas powodzi.

PRZEPRAWA PRZEZ TRZĘSAWISKA.

Przed opuszczeniem Rodezji ekspedycję spotkała jeszcze jedna przygoda. W odległości 10 mil od Pemby natrafiliśmy na trzęsawiska, w których ugrzązł tym razem Chevrolet osobowy. Straciliśmy znów kilka godzin, zanim zdołaliśmy wóz wydobyć. W celu umożliwienia dalszej drogi trzeba było ułożyć z pni, drzew i gałęzi poprzez trzęsawiska coś w rodzaju pomostu. Pozatem niemożliwe zupełnie do przebycia trzęsawiska trzeba było ominąć i jechać przez step afrykański, pokryty wysoką trawą.

Okazało się, że sedan łatwiej pokonywa trudności dróg afrykańskich, niż ciężarówka, ponieważ, będąc od niej lżejszy, nie tak łatwo grzęźnie, a w razie zapadnięcia się w trzęsawisko, łatwiej go stamtąd wydobyć.

Ulewne deszcze, z którymi mieliśmy szczęście i przyjemność zapoznać się jeszcze w Rodezji Północnej, towarzyszyły nam w dalszym ciągu. Kiedyśmy wkroczyli na terytorjum Tanganiki, przekonaliśmy się, że ulewa zatarła wszelkie ślady „dróg" afrykańskich. Liczne rzeki i strumienie wzdęte ulewą, utrudniały jeszcze bardziej i tak już trudną podróż. Ekspedycja jednak, chociaż powoli, posuwała się, mimo wszystko, zwycięsko naprzód. Każda przeprawa rzeczna była najeżona niebezpieczeństwami. Mostów prawie nigdzie nie spotykaliśmy, a jeśli były gdzie jakie, to tak prymitywnie zbudowane, że próby przejechania po nich kończyły się zarwaniem konstrukcyj czarnych „inżynierów" i trzeba było później tracić po 10, 12 godzin na wydobycie samochodów. Przeprawy przez rzeki dokonywaliśmy bardzo często przy pomocy pontonów skostruowanych z czółen tubylców, t. j. z wydrążonych pni drzewnych. Pomosty tych pontonów budowano z bambusów powiązanych bardzo prymitywnie „chingwe'ami", czyli łykami z kory pewnego gatunku drzew afrykańskich. Były to przeprawy ogromnie niebezpieczne, gdyż więcej, niż wątpliwej trwałości pontony afrykańskie lada chwila groziły rozbiciem i porwaniem ich przez wartki prąd wezbranej ulewą rzeki.

NIEBEZPIECZNA PRZEPRAWA PRZEZ RZEKĘ RUVU.

Najniebezpieczniejsza była przeprawa przez rzekę Ruvu w półn. Tanganice na równinie Bahora. Wskutek ulewnych deszczów trwających dłuższy czas, rzeka ta rozlała szeroko. Tak olbrzymiego wylewu ludność tubylcza nie widziała od lat przeszło 20. Wszystkie mosty zostały zniesione. Cała równina Bahora przedstawiała istne morze usiane drobnemi wysepkami.

Zwykle automobiliści zadawalali się w takich wypadkach pięknym widokiem zalanej równiny. Ładowali swoje samochody na statek i jeziorem Tanganika dostawali się wygodnie do Kigoma, a następnie pociągiem do Dodoma. Lecz ekspedycja Chevroletowa postanowiła nie korzystać z tych ułatwień i o własnych siłach dążyć do celu bez względu na przeszkody, w myśl maksymy, że właściwem miejscem dla samochodu jest droga bez względu na stan, w jakim się znajduje. Komandor wyprawy, kpt. Lacey, postanowił stawić czoło trudnościom i zdecydował się na sforsowanie rzeki Ruvu. Początkowo zamierzał on przeprawić się na zbudowanych ad hoc tratwach, lecz myśl tę porzucił i postanowił użyć pontonów. Rzeka przedstawiała istne morze. Dostęp do brzegów zagrodzony był przez trzęsawiska, które na przestrzeni 2 mil zalane były wodą sięgającą po piersi. Po drugiej stronie rzeki sytuacja nie była lepsza, gdyż wylew ciągnął się na przestrzeni 3 mil, głębokości 4 stóp. Kpt. Lacey wobec takiej sytuacji postanowił zaczekać parę dni, aż woda nieco opadnie. Po dwóch dniach poziom wody podniósł się jeszcze o półtorej stopy wskutek silnych deszczów, jakie spadły w górze rzeki w okolicach Kilimandżaro.

Położenie stało się jeszcze krytyczniejsze, tembardziej, że zapasy prowjantów wyczerpały się. Trzeba było koniecznie dostać się do miasteczka Moshi, które leżało po drugiej stronie rzeki. Po dwóch dniach za pośrednictwem tubylców uzyskaliśmy nieco prowjantów. W tak beznadziejnej sytuacji ekspedycja przetrwała cztery dni. Na piąty dzień rano zauważyliśmy brnących przez rzekę dwóch europejczyków w towarzystwie około 70 tubylców, którzy starali się

dostać na wysepkę, gdzie znajdowała się ekspedycja. Byli to pp. Gowan i Goring, członkowie Amerykańskiego Towarzystwa Transportowego z Moshi. Zjawienie się tych ludzi po pięciu długich dniach i nocach spędzonych na małej wysepce w obliczu szalejącej rzeki, wypogodziło nasze oblicza.



Na równinie Bahora. Naprawa zniesionego przez powódź mostu.

SEDAN PRZEBYŁ SZCZĘŚLIWIE RZEKĘ I TRZĘSAWISKA

Poczynione zostały przygotowania i następnego dnia zrana rozpoczęliśmy najniebezpieczniejszą z całej podróży przeprawę. Przy pomocy tubylców udało się nam przeciągnąć sedan przez trzęsawiska do brzegu rzeki, który ze względu na swe wysokie położenie nie został zalany przez wodę. W ślad za sedanem przeciągnęliśmy tą samą „drogą" ciężarówkę, poczem przystąpiliśmy do przerzucania pontonu. Gdy wszysko było już gotowe, kpt. Lacey poprowadził z niebywałą zręcznością i ostrożnością sedan przez ponton wygięty silnie prądem rzeki. Najmniejsze uchybienie, najmniejszy błąd lub najmniejsze drgnięcie ręki na kierownicy groziło znalezieniem się w nurtach rzeki. Sedan prowadzony wprawną ręką kapitana Lacey, posuwał się wolno po drgającym pontonie szarpanym przez prąd wzburzonej rzeki. Motor pracował równomiernie, tylko jakby ciszej i bojaźliwiej wobec ryczącej pod nim rzeki. Stojący na brzegu obserwowali z zapartym oddechem w piersiach, ten niezwykły akt odwagi i zręczności. Wreszcie sedan dosięgnął szczęśliwie przeciwległego brzegu. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Lecz nie był to jescze koniec przeprawy. Po drugiej stronie rzeki na przestrzeni trzech mil ciągnęły się trzęsawiska zalane wodą. Z pni znalezionych w okolicy zbudowaliśmy tratwę, na której przy pomocy tubylców przewieźliśmy sedan na możliwie twardy grunt. Ku wieczorowi przeprawa z sedanem została ukończona.

CIĘŻARÓWKA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.

Kpt. Lacey i operator kinematograficzny William pozostali razem z częścią tubylców przy sedanie, a operator radjo-stacji Wilson i ja powróciliśmy do ciężarówki oczekującej przeprawy. Rozpaliliśmy ogniska, przy których spożyliśmy posiłek po całodziennej i uciążliwej pracy, poczem udaliśmy się na spoczynek, ażeby z brzaskiem dnia śladem sedanu przeprowadzić ciężarówkę. Noc była niespokojna. W pobliżu huczała rzeka, a złośliwe moskity pomimo różnych środków zabezpieczających, niepokoiły strudzonych członków ekspedycji.

Postanowiliśmy rozebrać ciężarówkę i częściowo przeprawić ją przez rzekę, gdyż obawialiśmy się, że słaby ponton afrykańskiej konstrukcji nie wytrzyma ciężaru wozu. Już poczyniliśmy przygotowania do zdemontowania ciężarówki, gdy wtem zjawił się kpt. Lacey w towarzystwie Goring'a, Birckel'a, niemca farmera, oraz 10-ciu tubylców, i oznajmił, że postanowił przeprawić ciężarówkę w całości, tak samo, jak przeprawiono sedan. Przystąpiliśmy ochoczo do pracy, lecz sprawa z ciężarówką była o wiele gorsza, niż z sedanem. Podczas przeprawy przez trzęsawiska samochód zapadał się co chwila, niekiedy do głębokości 4 stóp. Tubylcy zachęceni „bakszyszem" (datkami), dokładali starań i wysiłków, aby wyciągnąć wóz na twardy grunt brzegu. Około południa ciężarówka stała na brzegu rzeki i oczekiwała swego dalszego losu, patrząc oczami reflektorów na słabej konstrukcji ponton podrywany nerwowo prądem rzeki. Kpt. Lacey puścił motor w ruch, obejrzał hamulce i siadł przy kierownicy. Na ustach wszystkich zawisło pytanie, czy ciężarówce również uda się szczęśliwie przejechać po grzbiecie wzburzonej rzeki?

Samochód wjechał na ponton. Potoczył się po nim zaledwie kilka metrów, gdy koniec pontonu oderwał się od stalowej liny i począł pogrążać się w wodę. Kapitan Lacey i operator Wilson wydostali się na wierzch wozu. Zorjentowali się odrazu w sytuacji. Kpt. Lacey wydał rozkaz ściągnięcia pontonu do przeciwległego brzegu. Na szczęście przy wozie znajdowała się linka. Wilson pobiegł po zanurzonym w wodzie pontonie i podał linkę stojącym na przeciwległym brzegu tubylcom. Cały ratunek wozu i znajdującego się na nim kapitana zależał od szybkości ściągnięcia wozu ku przeciwległemu brzegowi. Murzyni ciągnęli linę z nadludzką siłą, a wóz powoli, lecz pewnie, zanurzał się coraz bardziej w wodę. Dzięki jednak przytomności umysłu kapitana Lacey, który z tonącego wozu wydawał rozkazy, oraz szybkości akcji, zdążono wczas wóz przeciągnąć przez prąd rzeki. W odległości bowiem jakichś 5 metrów od brzegu tył wozu pogrążył się zupełnie, osiadając na dnie, a tylko chłodnica pozostawała nad wodą. Ciężarówka została uratowana. Trzeba było teraz wyciągnąć ją na brzeg.

Operator kinematograficzny Williams przez cały czas stał na brzegu i najspokojniej filmował całą tę niezwykłą przeprawę, aby dać możność każdemu, kto tego tylko zapragnie, stania się naocznym świadkiem ciekawego i niebezpiecznego epizodu ekspedycji chevroletowej poprzez bezdrożne przestrzenie Afryki.



Przeprawa przez rzekę Limpopo w Afryce Centralnej.

OPERATOR RADJO-STACJI WŚRÓD KROKODYLÓW.

Przystąpiono do pracy nad wyciągnięciem ciężarówki na brzeg. Okazało się, że wóz ugrzązł głęboko w mulistem dnie rzeki i wydobycie go nastręczało dużo trudności. Przy pomocy jednej linki było to rzeczą zupełnie niemożliwą. Druga linka pozostała na przeciwległym brzegu. Trzeba było ją dostać ko-

niecznie. Pontonu już nie było, gdyż uniósł go prąd rzeki. Pozostał tylko kabel stalowy, do którego był przymocowany ponton. Operator radjo - stacji, Wilson, postanowił przy pomocy tego kabla przedostać się na drugą stronę rzeki. Przedsięwzięcie było ogromnie niebezpieczne. Wilson, trzymając się kabla, rozpoczął przeprawę. Zanurzony po szyję w wodzie, posuwał się wolno naprzód, walcząc z prądem. Rzeka była pełna krokodylów i pni drzew, które, niesione szybkim prądem, przepływały koło głowy śmiałka, tak, że chwilami musiał zanurzać się w wodę, ażeby uniknąć zderzenia. Gdyby siły go opuściły, groziłaby mu niechybna śmierć, bo jeśli uniknąłby paszczy krokodyla, utonąłby w falach wzburzonej rzeki. Po półgodzinnym wysiłku Wilson dotarł szczęśliwie do brzegu, odpoczął chwilę, zabrał z sobą cenną linkę i powrócił tą samą drogą, ryzykując powtórnie życie.

Gdy przybył z powrotem, zgotowano mu owację. Nawet murzyni, którzy patrzyli na niezwykłą odwagę swego białego brata, wyrażali okrzykami i klaskaniem rąk uznanie śmiałkowi. Przy pomocy dwóch linek i kilkudziesięciu murzynów wóz wyciągnięto na brzeg. Wilson siadł przy sterze i puścił motor w ruch. Samochód ruszył z miejsca, jak gdyby nigdy nic. Kontynuowanie podróży okazało się jednak niemożliwem, gdyż trzeba było przebyć jeszcze nadbrzeżne trzęsawiska, a wszyscy już byli zanadto wyczerpani. Pozostawiono więc samochody na miejscu i udano się pieszo po wodzie na nocleg do farmy niemca Birckel'a. Uczestnicy ekspedycji znaleźli tam zasłużony wypoczynek.

Następnego dnia wyciągnięto ciężarówkę z trzęsawiska i ruszono w dalszą podróż.

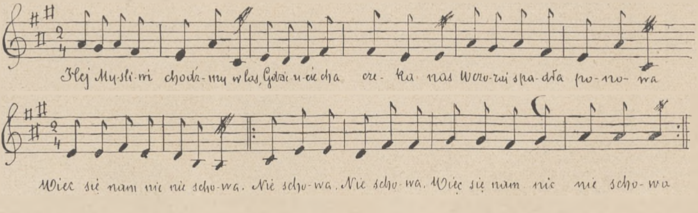
SPOTKANIE ZE SŁONIEM.

Wjeżdżając na terytorjum Sudanu, zostaliśmy powitani przez przedstawiciela fauny sudańskiej. Jechaliśmy ze średnią szybkością, korzystając ze względnie możliwych warunków komunikacyjnych. Wtem usłyszeliśmy chrzęst łamanych gałęzi w gaszczach przydrożnych, a po kilku minutach w odległości kilkunastu metrów ujrzeliśmy przed sobą olbrzymiego słonia. Kap. Lacey, widząc taką przeszkodę, zahamował wóz. Słoń, zdziwiony widokiem tak niezwykłych gości, stał pośrodku drogi i zastanawiał się prawdopodobnie, co czynić. Machał swą olbrzymią trąbą, przestępował z nogi na nogę, nie mogąc się zdecydować na żaden krok, ani w tył, ani wprzód. My również byliśmy niezdecydowani, gdyż tak samo trudno było nam odgadnąć zamiary słonia, jak słoniowi nasze. Wtem kap. Lacey nagłym ruchem puścił motor. Słoń nastawił uszy, obejrzał się w tył, i zaczął się cofać powoli. Kap. Lacey, widząc, że słoń względem nas nie żywi bynajmniej wrogich zamiarów, ruszył samochodem ku niemu. Słoń, widząc tak dziwacznego i niesamowitego przeciwnika, postanowił walki nie przyjmować, i szybkimi ruchami—o ile pozwala mu na to jego godność słoniowa -- zeszedł z drogi i zginął w zaroślach. W pół godziny później spotkaliśmy całą wyprawę myśliwską, poszukującą stada słoni, które, przyciśnięte posuchą, dążyły na południe w poszukiwaniu wody.

Taki „słoniowy spacer" jest istną klęską dla farmerów. Pokazywano nam pola, przez które przespacerowało się takie stadko. Mieliśmy wrażenie, że przeszedł tamtędy jakiś orkan połączony z gradobiciem. (D. n.)

„P O N O W A".

Śpiew myśliwski (melodja popularna).



Hej Myśliwi, śpieszmy w las,
Gdzie uciecha czeka nas,
Wczoraj spadła ponowa
Więc się nam nic nie schowa!

Nie schowa się stary dzik,
Znajdziem go po tropie w mig,
Znajdziem barłog gdzie leży,
Kiedy mamy trop świeży!

Nie schowa się chytry lis,
Nie damy się wziąć na fis,
Bo chociby się skrył w norę
Odszukamy go w porę.

Kozioł, że już zrzucił róg
Pewny siebie, pewny nóg,
Lecz kto strzelec niemarny,
Odróżni go od sarny!

I zajączek myśli rad,
Że zatracił już swój ślad
I, że może w gęstwinie
Leżeć sobie w kotlinie!

Dla nas śnieg jest dużo wart,
Czytać można jakby z kart,
Nic się już nam nie schowa
Wiwat! wiwat ponowa!

ARTUR ŚLIWIŃSKI

Z żałobnej karty.



Ś. p. Władysław Suchowiecki, wybitny myśliwy i miłośnik łowiectwa, zmarł nagle w Kobyłce pod Warszawą, licząc lat 36.

Przedwcześnie zgasłemu Towarzyszowi z pod chorągwi św. Huberta — cześć!



Ś. p. Józef Rapacki, artysta-malarz, słynny pejzażysta polski, twórca wielu obrazów treści myśliwskiej, zmarł w sile wieku w posiadłości swej Olszance pod Radziwiłłowem.

Ś. p. Józef Rapacki należał do najpopularniejszych pejzażystów polskich ostatnich dziesiątków lat. Utwory jego były rozchwytywane, łagodny ich liryzm, gładkość techniki i świeżość barw znajdowały wielkie uznanie wśród szerokich warstw społeczeństwa. Pięknie umiał mówić mową malarską, artysta o wiośnie, o moczarach lśniących w słońcu porannem, o bruzdach świeżo zoranej ziemi, o naszych lasach sosnowych, o wrzosowiskach jesienią, o słońcu złocącem się na liściach brzóz, o urokach piaszczystych pustkowi i o ponurych zachodach.

Urodził się Józef Rapacki w r. 1871 w Warszawie jako syn znakomitego artysty dramatycznego i pisarza scenicznego, Wincentego. Od wczesnej młodości przejawiał wybitny talent, szeroki gest w traktowaniu pejzażu, zamiłowanie do wielkich płócien o charakterze dekoracyjnym i nastrojowym. Kształcił się u Gersona w Warszawie, od r. 1886 w Akademji krakowskiej u profesora Cynka, później w Monachjum u prof. Fehra. Pierwszy raz wystawił obraz p. t. „Rekruci" w salonie Krywulta w końcu r. 1889, licząc lat zaledwie 18 — i wkrótce potem nadesłał do Warszawy z Monachjum trzy pejzaże, które wywarły porywające wrażenie swoim rozmachem i śmiałością. W r. 1901 wrócił do Warszawy, gdzie osiadł na stałe, zyskując coraz większą sławę. Już w r. 1894 otrzymał we Lwowie na wystawie konkursowej medal srebrny, w r. 1924 — drugą i trzecią nagrodę na wystawie w Warszawie „Lato w Polsce", w r. 1896 — nagrodę Kurjerowa, w r. 1900 — mention honorable na wystawie powszechnej w Paryżu.

MYŚLIWI I ŁOWCY, RATUJCIE ZWIERZYNĘ!

Pod powyższym tytułem ogłosił Wielkopolski Związek Myśliwych, w pismach poznańskich, co następuje:

Niemiecki miesięcznik meteorologiczny „Mond und Wetter" zapowiada trzecią falę niesłychanych mrozów. Termometr wskazuje do 32 stopni R. Najstarsi ludzie nie pamiętają tak strasznych mrozów. Co będzie z naszą biedną zwierzyną, z naszem ptactwem? Myśliwi i łowcy wielkopolscy, apelujemy do Was, — w tej strasznej zimie pamiętajcie o następujących przykazaniach łowieckich:

1. Paść owies niemłócony, grochowinę, mieszankę, łubiniankę, tłuczone kasztany, koniczynę, siano.
2. Nie dawać pod żadnym warunkiem jakichkolwiek węglowodanów (buraki, brukiew, ziemniaki, marchew), które jako zmarznięte kamienie, dostają się do żołądka, osłabiając już i tak mrozami wyniszczony organizm, i powodują śmierć.

(Meldują z tego powodu z różnych stron masowy zanik sarn, zwłaszcza koźląt. W Zakrzewie pod Gnieznem znaleziono w jednym dniu 8 zdechłych, zeszłorocznych sarenek).

3. Zakładać budki, dużo plew lub sieczki z ziarnem, aby kuropatwy i ptactwo mogło się ogrzać.
4. Zakładać w lasach głębokie, wąskie korytka, — obłożyć grubą warstwą mierzwy końskiej, na każde korytko do dwuch wozów, i wywozić gorącą wodę, — stwarzać w ten sposób sztuczne poidła, aby ratować zwierzynę przed zupełnym brakiem wody.

A więc wszyscy Myśliwi i Łowcy do wspólnego dzieła. Ratujcie zwierzynę!

TOW. ORNITOLOGICZNE W POZNANIU.

W lokalu Wielkopolskiej Izby Rolniczej w Poznaniu odbyło się walne zebranie „Towarzystwa Ornitologicznego". Obrady zagaił p. Pawlak. Przewodniczył p. Chacharowski. Wybrano: prezesem p. Pawlaka, zastęp. prez. p. Januszewskiego, sekretarzem p. Ratajczyka, zast. sekr. p. Tilgnera, skarbnikiem p. Sterczałę, gosp. p. Kowalskiego, ławnikami p. p. Wowera i Kaczmarka.

Towarzystwo urządza w czasie od 23 do 26 lutego 1929 r. w salach Ogrodu Zologicznego w Poznaniu wystawę drobiu, gołębi, królików i zwierząt futerkowych i przyborów hodowlanych jako przegląd przed Powszechną Wystawą Krajową. Tow. istnieje obecnie 40 rok. Zebrania odbywają się regularnie w każdy pierwszy poniedziałek w miesiącu w sali Wielkp. Izby Roln., Poznań, ul. Mickiewicza 33, wieczorem o godz. 8.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

— **Skutki mrozu.** — Pomimo opieki i paszy padły i daniele roczne w Zegrzu u ks. Konst. Radziwiłła.

— **Walka z kłusownictwem.** — Min. Składkowski wydał polecenie, by z całą surowością prawa przystąpiono do tępienia rozpowszechniającego się w ostatnich czasach kłusownictwa po polach i w lasach. W szczególności zwrócono uwagę policji, by tropiła kłusowników.

D. 10 b. m. upłynął w myśl ustawy łowieckiej, termin sprzedaży lub podawania w restauracjach i jadłodajniach zwierzyny. Komisarjat rządu na Warszawę uprzedza o tem interesowanych i ostrzega ich, że w razie przekroczenia tego zakazu winni pociągani będą do odpowiedzialności.

— **Konfiskata kuropatw.** — Na polach gminy Czarów (pow. warszawski) skonfiskowała policja pokaźną ilość sideł na kuropatwy. Dochodzenie w tej sprawie doprowadziło do aresztowania następujących gospodarzy — kłusowników: braci Stanisława i Antoniego Sądejów, Stanisława Sandomierskiego, Jana Kułaka i Kazimierza Walerjana. Podczas rewizji u braci Sądejów znaleziono 50 kuropatw, które odesłano do zakładów dobroczynnych. Kłusownicy będą pociągnięci do surowej odpowiedzialności za tępienie ptactwa w zakazanym czasie.

— **Dla ogrodu zoologicznego.** — Właściciel willi „Flora" w Brwinowie pod Warszawą, p. Kazimierz Dąbrowski schwycił w kurniku wielkiego jastrzebia, którego zaofiarował Warszawskiemu Ogrodowi Zoologicznemu.

— **Mieszaniec psa z wilkiem.** — Przy komisarjacie XVI w Mokotowie mieści się szkoła tresury psów komendy głównej P. P., pod kierownictwem st. przodownika Wacława Lange. W celu polepszenia rasy skrzyżował on wilczycę policyjną „Dolly" z prawdziwym wilkiem z ogrodu zoologicznego na Pradze. Z pary tej przyszły na świat dwa szczeniaki. Uchował się z nich jeden — „Vermouth". Za młodu mieszaniec niczem się nie różnił od innych szczeniąt. Był łagodny i igrał z rówieśnikami. Po upływie roku zmienił się nie do poznania. Kilkakrotnie dostał chłostę za rzucanie się na ludzi, wreszcie przywiązano go łańcuchem do budy. Lecz i to nie pomogło. Bude oogryzł zębami na drzazgi, a wzamian wykopał sobie wilczą jamę.

W ostatnich czasach „Vermuth" siadał na zadnich łapach, podnosił pysk ku niebu i wył żałośnie. Pewnej nocy, zerwawszy się z obroży, mieszaniec uciekł w pole. Posterunek wilanowski meldował, że w Wilanowie ukazał się wilk. Pod Pyrami zwierz wbiegł do gospodarskiej zagrody, porwał gęś, zadusił i pożarł. W komisarjacie XVI zorganizowano obławę, na której czele stanął przodownik Lange. Zbiega odnaleziono w odległości czterech kilometrów od Mokotowa. Przy pomocy kawałków mięsa zdołano go przywabić. Lecz gdy przodownik Lange zbliżył się, „Vermouth" rzucił się nań i poszarpał mu cholewy butów. Następnie skoczył jednemu z policjantów do gardła. Nie było innego wyjścia, huknął strzał rewolwerowy i syn wilka padł z przestrzeloną głową.

SPROSTOWANIE

do protokułu posiedzenia Komitetu Wykonawczego Centr. Zw. Polsk. Stow. Łowieckich z dnia 18.I. 1929.

Z treści protokułu, ogłoszonego w Nr. 7 „Łowca Polskiego" wynika, jakobym miał oświadczyć, że tylko w wypadku przystąpienia Centralnego Związku na członka Instytutu łowiectwa, dokonane byłyby ponowne wybory do zarządu, do którego weszliby przedstawiciele Centralnego Związku Polsk. Stow. Łow. Wyjaśniam zatem, że ponowne wybory do zarządu związane są wyłącznie z przeniesieniem siedziby zarządu Instytutu ze Stanisławowa do Warszawy, a nie z przystąpieniem kogokolwiek na członka. Inna sprawa natomiast jest, że przez fakt przystąpienia Centralnego Związku Stow. Łow. na członka Instytutu przedstawiciele Związku, jako członkowie zarządu Instytutu, będą oczywiście przez wszystkich członków mile widziani.

W sprawie udziałów do Związku Łowieckiego też wkradła się pewna nieścisłość. Pan prezes Lilpop był zdania, by udziały zniżyć do 250 zł., byli jednak i tacy, którzy dowodzili, że nie powinny być mniejsze nad 500 zł., z czem nawet pan prezes Lilpop się godził. Osobiście byłem zdania i jestem, że udziały nie mogą być zbyt małe, gdyż koszty prowadzenia stacji hodowlanej w Teresinie będą stosunkowo dość znaczne, a że idea zrzeszania się u nas w Polsce jest mało rozwinięta, więc nader wątpliwem jest, by bardzo poważna różnica w wysokości udziałów wyrównana została ilością nowowstępujących członków. Wprowadzanie zniżki w wysokości udziałów może być aktualne dopiero wówczas, gdy opierający się obecnie na obowiązujących udziałach 1000-złotowych, Związek hodowlany zyska trwalsze podstawy rozwoju i egzystencji, kiedy nie tyle będzie chodziło już o zgromadzenie możliwie największego funduszu, ile o zjednoczenie w Związku możliwie największej ilości myśliwych - hodowców.

Odnośnie władz obecnych Instytutu Łowiectwa pragnę też wyjaśnić pewną nieścisłość, wynikłą z mej winy. Pan J. hr. Bielski był wybrany na prezesa, lecz następnie zgłosił rezygnację dla braku czasu. Zarząd rezygnację przyjął do wiadomości, postanawiając sprawę tę przedstawić następnemu walnemu zebraniu i prosząc jednocześnie o objęcie czynności prezesa pana radcę Goreckiego, który był vicepreze sem. Ponieważ w międzyczasie wyłoniła się sprawa przeniesienia siedziby zarządu, co w konsekwencji musi pociągnąć za sobą nowe wybory do władz, więc wogóle wszelkie zmiany na stanowiskach zarządu odłożone zostały do przyszłego walnego zebrania, a co za tem idzie i oficjalne przyjęcie do wiadomości przez walne zebranie rezygnacji p. J. hr. Bielskiego ze stanowiska prezesa.

S. KAMOCKI

Dyrektor Instytutu Łowiectwa

NASZA ILUSTRACJA NA OKŁADCE.

Okładkę tego numeru „Łowca Polskiego" zdobi rysunek Włodzimierza Korsaka, p. t. „Niedźwiedź", zaczerpnięty z jego „Teki Myśliwskiej", wydanej przez znaną i zasłużoną firmę wydawniczą Gebethnera i Wolffa. Włodzimierz Korsak znany jest naszym Czytelnikom jako doskonały autor myśliwski, którego prace niejednokrotnie na łamach „Łowca Polskiego" się ukazywały. Nie wszyscy jednak może wiedzą, że Korsak posiada wybitny talent rysowniczy i zdobniczy, którego miarę daje choćby umieszczony w niniejszym numerze „Niedźwiedź". Korsak jest piewca uroków i wdzięków naszej północy, którą nietylko piórem, ale i piórkiem znakomicie potrafi odtwarzać. Ostatnie winiety, które poczęły zdobić numery „Łowca Polskiego", trzy głuszce, słonki, kaczki, tokujące cietrzewie, kilka motywów zimowych, wszystkie znamionujące doskonałe odczucie naszych puszcz północno - wschodnich, wyszły również z pod piórka Włodzimierza Korsaka.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, Wł. Czerniejewski, J. Ejsmond, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, Wł. Janta-Połczyński, W. Kiltynowicz, H. Knothe, E. hr. Krasiński, red. St. Krzywoszewski, St. Lilpop, prof. dr. E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, F. Rożyński, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrug i dr. St. Zaborowski.

Redaktorzy: **Julian Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.**



Książki Myśliwskie

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z **ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":**

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Görtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Prawo Łowieckie z komentarzami — J. Ejsmonda i St. Bienarowicza — 1,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego, zesz. 2 — 2,50 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł. zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) **„Żubr"** — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego 1,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

W sercu kniei — dra Stanisława Zaborowskiego — część I — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy" — 3,00 zł. 2) „Polująca Pani" — 3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1,40 zł.

Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy.

Leśnik, Poznaniak, kawaler, lat 27, obeznany grunt. z prowadzeniem gosp. leśnego, hodowlą, bażantów; pilny tępiciel drapieżników i kłusowników. Ze względu na parcelację majątku poszukuje jako samotny lub żonaty od 1. IV. b. r. posady leśniczego, podleśniczego lub jako strzelec — hodowca. Łask. zgł. proszę skierować **„Łowiec Polski" dla „Leśn. Pozn".**

Do PP. Członków
Pierwszego Polskiego Instytutu Łowiectwa
i
Łowieckiego Związku Hodowlanego

PP. Członkowie, życzący nabyć w nadchodzącym sezonie stadka młodych odchowanych bażantów, proszeni są o przysyłanie zamówień do dnia 1 marca pod adresem zarządu Łowieckiego Związku Hodowlanego: Warszawa, Nowy Świat 35 (lokal Polskiego Towarzystwa Łowieckiego)

Bażanty dostarczone będą z własnej bażantarni Związku w majątku Teresinie pod Warszawą.

HUMOR MYŚLIWSKI.

Zając tchórzem.

Z rozmów w salonie: — Nie może sobie pani wyobrazić, jakim tchórzem jest zając.

Pani: — A gdyby zając miał strzelbę pana, a pan nogi zająca, to kto wie, czy byłby pan odważniejszy od niego.

Na strzelnicy.

— W żaden sposób nie możecie trafić do tarczy. Jesteście w cywilu krawcem, jakim u licha sposobem trafiacie nitką w ucho igielne?

— Bardzo prostym, panie poruczniku: Nie trzymam igły o 200 metrów od nitki.

Potężny motor z wielką rezerwą siły, solidnie i mocno zbudowane podwozie, znakomite resorowanie, niezawodne, szczelnie zamknięte, hydrauliczne lub pneumatyczne hamulce — oto warunki, które musi wypełnić samochód, aby dobrze i długo służył w naszych warunkach.

AUTOMOBILES MINERVA

MINERVA

JEDNA Z PIERWSZYCH MAREK EUROPEJSKICH O ŚWIATOWEJ SŁAWIE

Prosimy zobaczyć i wypróbować nowy piękny model, rasową sześciocylindrową dwulitrówkę 40 KM w cenie od 22.500 złotych

DODGE 6

DODGE BROTHERS

DETROIT U. S. A.

NOWE MODELE SZEŚCIOCYLINDROWE W CENIE OD 20.000 ZŁOTYCH PODTRZYMUJĄ GODNIE NAJLEPSZE TRADYCJE MARKI DODGE W POLSCE

PRZEDSTAWICIELSTWO

VARSOVIE-AUTOMOBILE Sp. Akc.

FIRMA EGZ. OD 1909 R.

WARSZAWA — KOPERNIKA 4/6

TELEFON 237-22

SKŁAD CZĘŚCI ZAPASOWYCH. WARSZTATY. NOWOCZESNA OBSŁUGA KLIENTELI.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.